



DOM NOCY

Przysięga Smoka

Opowieść z cyklu Dom Nocy

P.C. CAST + KRISTIN CAST

-Książnica-

Cast P. C & Cast Kristin

Dom nocy

Przysięga Smoka

Zanim Bryan Lankford przybrał imię Smoka i został mistrzem szermierki, był zwykłym adeptem w Domu Nocy: młodym, niezwykle utalentowanym i... zakochanym. Jednak popełnił błąd, który wiele go kosztował.

Przysięga Smoka to opowieść o gorącej miłości i obietnicy, która na zawsze odmieni życie Lankforda oraz wpłynie na losy Zoey i jej przyjaciół.



ROZDZIAŁ PIERWSZY

Oklahoma, czasy współczesne

Smok Lankford czuł wściekłość i dezorientację. Czy Neferet naprawdę tak szybko ich opuści po śmierci chłopaka i katastrofalnej wizycie bogini?

— Neferet, a co z ciałem adepta? Czy nie powinniśmy nadal przy nim czuwać? — zwrócił się do najwyższej kapłanki, z trudem panując nad głosem.

Neferet spojrzała na niego swoimi cudownie szmaragdowymi oczami i uśmiechnęła się gładko.

— Dziękuję za przypomnienie, mistrzu szermierki — odparła. — Ci z was, którzy uczcili pamięć Jacka fioletowymi świecami ducha, mogą odchodząc, dorzucić je do stosu. Synowie Ereba przejmą wartę nad ciałem tego biednego adepta i będą przy nim czuwać aż do rana.

— Wedle życzenia, kapłanko — powiedział Smok, składając głęboki ukłon. Zastanawiał się, dlaczego tak

bardzo swędzi go skóra. Zupełnie jakby był pokryty brudem i szlamem. Ogarnęło go nagle niewytłumaczalne pragnienie kąpieli w wyjątkowo gorącej wodzie. *To Neferet, podpowiadało mu cicho sumienie. Odkąd Kaloria się uwolnił, nie jest sobą. Już kiedyś czuleś coś takiego...*

Smok Lankford potrząsnął głową i zacisnął usta. Drugorzędne wydarzenia nie miały żadnego znaczenia. Nie liczyły się już uczucia. Ważne było tylko silne poczucie obowiązku oraz niewypowiedziana chęć zemsty. Skup się! Trzeba myśleć o bieżącym zadaniu! — rozkazał sam sobie, po czym skinął głową w stronę kilku wojowników.

— Rozpędźcie tłum!

Neferet zatrzymała się jeszcze na chwilę, by porozmawiać z Lenobią, i dopiero potem ruszyła w kierunku skrzydła mieszkalnego profesorów, jednak Smok nie zaszczycił jej nawet spojrzeniem. Jego uwaga była skupiona na stosie ognia i płonących zwłokach chłopaka.

— Tłum już jest rozpędzany, mistrzu szermierki. Ilu z nas ma zostać razem z tobą na straży przy stosie? — zapytał Christophe, jeden ze starszych rangą wojowników.

Smok się zawahał. Potrzebował chwili, by się skoncentrować i zauważyć, że kręcący się wokół płonącego jasnym ogniem stosu adepci oraz nauczyciele wydają się pobudzeni i zdenerwowani. Obowiązki. Kiedy wszystko inne zawodzi, trzeba się zabrać za wypełnianie obowiązków!

— Niech dwóch strażników odprowadzi nauczycieli do budynku. Reszta pójdzie z adeptami. Macie się upewnić, że wszyscy znaleźli się w swoich pokojach. Do końca tej okropnej nocy będziecie pilnować części mieszkalnej. — Smok chrypiał od emocji. — Uczniowie powinni czuć kojącą obecność Synów Ereba, powinni przynajmniej mieć poczucie bezpieczeństwa, nawet jeśli niczego więcej nie są pewni.

— Ale stos tego dzieciaka...

— Ja zostanę z Jackiem — odparł Smok tonem nie-znoszącym sprzeciwu. — Nie zostawię ciała chłopaka, dopóki czerwone iskry żaru nie przerodzą się w suchy popiół. Zrób to, co do ciebie należy, Christophe. Dom Nocy cię potrzebuje. Ja zajmę się smutkiem, który tu pozostał.

Christophe skłonił się i od razu zaczął wykrzykiwać rozkazy zgodnie z poleceniem mistrza szermierki, wykazując przy tym beznamietną skuteczność działania.

Wydawać się mogło, że upłynęło zaledwie kilka sekund, kiedy Smok zdał sobie sprawę, że został sam. Słysząc było jedynie dźwięki dobiegające od płonącego stosu — zwodniczo kojący trzask ognia. Poza tym w sercu Smoka panowała ciemna noc i bezbrzeżna pustka.

Mistrz szermierki wpatrywał się w płomienie, jakby miał wśród nich znaleźć balsam na obolałą duszę. Ogień migał złotem i bursztynem, rdzą i czerwienią, przypominając Smokowi delikatny klejnot

— unikatowy, wyjątkowy, przymocowany do aksamitnej tasiemki w kolorze świeżej krwi...

Jego ręka powędrowała bezwiednie do kieszeni i Smok zacisnął palce na owalnym przedmiocie, który się tam znajdował. Był śliski i gładki. Smok wyczuwał jedynie nieznacznym zarys ptaka błękitnika, niegdyś tak pięknie i wyraźnie na nim wyżłobionego. Złoty owal idealnie wpasowywał mu się w dłoń. Smok trzymał go, chronił, dotykał, a potem powoli wyciągnął z kieszeni rękę wraz z medalionem. Przełożył aksamitną wstążkę między palcami i zaczął gładzić ją kciukiem z roztargnieniem świadczącym, że robi to bardziej z nawyku niż z rozmysłem. W końcu wypuścił powietrze z płuc, co zabrzmiało raczej jak szloch niżeli westchnienie, rozpostarł palce i popatrzył na medalion.

Płomienie ze stosu Jacka zamigotały na złotej powierzchni, oświetlając wyryty wzór.

— Ptak symbol stanu Missouri — powiedział Smok na głos. Słowa zabrzmiały beznamiętnie, ale ręka trzymająca medalion zadrżała. — Ciekawe, czy nadal można cię spotkać na wolności, jak siedzisz wśród słoneczników rosnących nad rzeką? A może twoja uroda, tak samo jak piękno tamtych kwiatów, już wygasła? Jak wszystko co piękne i magiczne na tym świecie? — Smok zacisnął rękę na złotym owalu tak mocno, że aż kostki mu zbieleły.

Po czym tak samo szybko jak zacisnął dłoń, Smok rozprostował palce i zaczął obracać medalion.

— Ty głupcze! — wydyszał. — Mogłeś go zniszczyć! — Drżące palce mocowały się z zapęciem, ale kiedy w końcu udało mu się je uchwycić, medalion otworzył się gładko, bez problemu, ukazując maleńki grawerunek. Chociaż rycina zbladła z upływu czasu, nadal można było rozpoznać uśmiechniętą twarz drobniutkiej wampirki, która zdawała się wpatrywać w Smoka.

— Jak to możliwe, że już cię nie ma? — wyszeptał mistrz szermierki. Palcem przesunął po krawędziach portretu z prawej strony medalionu, następnie przeniósł go na lewo, by pogłodzić jasny lok zajmujący niegdysiejsze miejsce jego portretu z młodości. Wzrok przeniósł znad medalionu na nocne niebo i powtórzył pytanie głośniejszym głosem, jak gdyby błagał o odpowiedź: — Jak to możliwe, że już cię nie ma?

Jakby w odpowiedzi usłyszał pośród ciemnej nocy wyraźne echo krakania kruka.

Poczuł nagłą wściekłość, tak gwałtowną i potężną, że ręce mu znów zadrżały — tylko tym razem nie z bólu i tęsknoty. Tym razem trzęsły się z ledwie kontrolowanej żądy ataku, mordy, zemsty.

— Pomszczę ją! — Głos Smoka brzmiał jak tchnienie śmierci. Mistrz szermierki popatrzył na medalion i kolejne słowa skierował do pukla złotych włosów: — Twój smok cię pomści. Naprawię to wszystko, co przeze mnie poszło nie tak. Ta kreatura poniesie zasłużoną karę. Przysięgam.

Nagle zerwał się wiatr, gorący powiew znad płonącego stosu, i uniósł złoty lok. Smok bezskutecznie próbował go złapać — włosy poszybowały wysoko, poza zasięg jego ramion, unosząc się na gorącym prądzie powietrza niemal jak piórko. Przez chwilę szybowały to tu, to tam i słychać było jakby kobiecy okrzyk zdziwienia. A potem wiatr zmienił kierunek i wciągnął pukiel na stos, gdzie został po nim tylko dym i wspomnienie.

— Nie! — krzyknął Smok Lankford i opadł na kolana ze szlochem. — Teraz straciłem jedyne, co mi po tobie pozostało. Moja wina... — powiedział z rozpaczą. — Tak samo jak moją winą była twoja śmierć.

Przez łzy obserwował, jak dym ze spalonego pukała ukochanej wiruje i tańczy przed jego oczami, później zaczyna magicznie połyskiwać i przekształca się w deszcz zielonych, żółtych i brązowych iskier. Iskry nadal przed nim wirowały, po chwili zaś oddzieliły się od siebie i uformowały wyraźny obraz: zielone stały się długą grubą łodygą, żółte — delikatnymi płatkami kwiatu, brązowe natomiast skupiły się, tworząc środek.

Smok wytarł łzy, nie mogąc uwierzyć własnym oczom.

— Słonecznik? — Usta miał tak samo odrętwiałe jak umysł. *To jej słonecznik!* krzyczało w nim coś. *To musi być znak od niej!* — Anastasio! — zawołał, czując, jak oszołomienie ustępuje okropnej cudownej nadziei. — Jesteś tu, najdroższa?

Połyskujący kwiat zamigotał i zaczął się zmieniać. Żółte iskry opadły na dół kaskadą złocistego blondu. Brązowe pojaśniały do koloru dotkniętej słońcem skóry, a zielone zmieszały się ze skórą, wirując i ewoluując w dwa błyszczące koła, które po chwili stały się turkusowymi oczami, tak kochanymi i tak dobrze znanymi.

— Na boginię, Anastasio! To ty! — zawołał Smok łamiącym się głosem i wyciągnął rękę. Jednak obraz uniósł się tuż ponad jego palcami. Smok krzyknął z rozpaczą, ale zdławił w sobie szloch, bo głos jego partnerki uniósł się w powietrzu niczym melodyjny szmer strumyka na obłych kamieniach. Smok wstrzymał oddech i wysłuchał echa przekazu.

Dla ciebie, ukochany, ten medalion czarem objęty, choć nie jesteśmy razem, bom pchnięta w śmierci odmęty. Wiedz, że na ciebie zawsze czekać będę cierpliwie, w sercu cię mając, aż się spotkamy szczęśliwie. Pamiętaj: siłę miłosierdziem tłumić przysięgałeś, przysięgi więc dotrzyмай, tak jak obiecałeś. Po wsze czasy...

Postać uśmiechnęła się do niego raz jeszcze, po czym się rozplynęła, stając się najpierw dymem, a później nicością.

— Moja przysięga! — krzyknął Smok, podrywając się na nogi. — Najpierw Nyks mi o niej przypomniała, a teraz ty! Nie rozumiesz, że właśnie przez tę przeklętą

przysięgę straciłaś życie? Mogłem temu wszystkiemu zapobiec! Gdybym dawno temu dokonał innego wyboru, być może to by się nie stało. Siła powstrzymana miłosierdziem okazała się błędem. Nie pamiętasz, ukochana? Nie pamiętasz? Ja pamiętam i nigdy nie zapomnę...

Smok Lankford, mistrz szermierki w Domu Nocy, trzymał straż nad zwłokami tragicznie zmarłego adepta zapatrzony w płonący stos, czekając, aż płomienie zabiorą go w przeszłość, by znów mógł przeżyć ból i rozkosz — tragedię i triumf — tego, co się kiedyś zdarzyło i ukształtowało tak dramatyczną przyszłość.

ROZDZIAŁ DRUGI

Anglia, 1830 r.

— Ojczy, nie mozesz mnie wydziedziczyć i zesłać do Ameryki. Jestem twoim synem! — Bryan Lankford, trzeci syn hrabiego Lankforda, pokręcił głową, wpatrując się z niedowierzaniem w ojca.

— Jesteś moim trzecim synem. Mam jeszcze czterech, dwóch starszych i dwóch młodszych. Żaden z nich nie przysparza mi tylu kłopotów co ty. Ich istnienie oraz twoje zachowanie znacznie ułatwiły mi podjęcie tej decyzji.

Bryan starał się zignorować szok i panikę, jakie narastały w nim w reakcji na słowa ojca. Zmusił się do spokoju, oparł się nonszalancko o drewniane drzwi najbliższego boksu i obdarzył ojca swoim rozbrajającym chłopięcym uśmiechem, któremu żadna kobieta nie mogła się oprzeć, uśmiechem, na którego widok

wszystkie panny chciały go uwieść, a mężczyźni pragnęli się do niego upodobnić.

Mroczna kamienna twarz hrabiego mówiła, że doskonale zdaje sobie sprawę z uśmiechu Bryana Laak-forda — i zupełnie go on nie wzrusza.

— To ostateczne postanowienie, chłopcze. Nie pohańbiaj się jeszcze bardziej niestosownymi błaganiami.

— Błaganiami! — Bryan poczuł znajome ukłucie gniewu. Dlaczego ojciec musi go zawsze tak lekceważyć? Przecież on nigdy w życiu o nic nie błagał. A już na pewno nie zamierzał robić tego teraz, bez względu na konsekwencje. — Nie błagam cię, ojcze. Próbuję ci tylko przemówić do rozsądku.

— Do rozsądku? Przynosisz mi wstyd swoim temperamentem oraz mieczem i jeszcze mówisz o rozsądku?

— Ależ ojcze, to była jedynie drobna zwada, i to ze Szkotem! Przecież nawet go nie zabiłem, w rzeczywistości zraniłem bardziej jego próżność niżeli ciało. — Bryan próbował się zaśmiać, lecz śmiech uwiązł mu w gardle, przeradzając się w kaszel, który męczył go od rana. Tym razem towarzyszyła mu fala dziwnego osłabienia. Zdradziecka słabość organizmu stępiła jego czujność, dlatego nie stawiał żadnego oporu, kiedy ojciec zmniejszył nagle dzielącą ich odległość, zacisnął palce na fularze, który jego syn miał na szyi, po czym rzucił Bryanem o ścianę z taką siłą, że uszło z niego całe powietrze. Drugą ręką wytrącił zakrwawiony jeszcze miecz ze słabnącego uchwytu syna.

— Ty buńczuczny bufonie! Ten Szkot to dziedzic ziemski! Jego ziemie graniczą z moimi, o czym dobrze wiesz, bowiem doskonale zdajesz sobie sprawę, że od naszej posiadłości dzieli cię tylko krótki dzień jazdy do jego córki i jej łoża! — Hrabia poczerwieniał z wściekłości, a że stał bardzo blisko Bryana, drobinki śliny pryskały na twarz chłopaka. — A teraz twoja zapalczywość dała mu dowody, których potrzebował, by udać się do tego naszego nowego bełkoczącego króla i zażądać odszkodowania za stracone dziewictwo córki!

— Dziewictwo! — wydusił z siebie Bryan. — Aileene straciła dziewictwo na długo przed tym, zanim ją poznałem.

— To nie ma absolutnie żadnego znaczenia! — Hrabia wzmocnił duszący chwyt, którym przytrzymał syna. — Liczy się tylko jedno: że to ty okazałeś się bęcwałem, który został przyłapany między jej nogami, i teraz nasz słabowity król ma wymówkę, żeby odwrócić wzrok, kiedy złodziejskie klany z północy dotrą na południe, wypatrując, komu by tu wykraść bydło. Jak myślisz, czyjego bydła będą szukać?

Bryan mógł tylko potrząsać głową i z trudem łapać powietrze.

Z wyrazem bezbrzeżnej pogardy Lankford puścił syna, który upadł na klepisko stajni, zanosząc się kaszlem. Wtedy hrabia skinął ręką na odzianych w czerwone płaszcze osobistych gwardzistów, którzy beznamiętnie przyglądali się pohańbieniu jego syna, i wybrał spośród nich ospowatego starszego oficera.

— Jeremy, zgodnie z moim wcześniejszym rozkazem, zwiążcie go jak byle łachudrę, którym w rzeczywistości jest. Wybierz dwóch ludzi do pomocy i zaprowadźcie go do portu. Wsadźcie go na pokład pierwszego statku, który odpływa do Ameryki. Nie chcę go więcej oglądać, to już nie jest mój syn. — A potem skinął na stajennego. — Przyrowadź mi konia. Zmitrężyłem dość cennego czasu na tego głupca.

— Ojczy! Zaczekaj! Ja... — zaczął Bryan, ale kolejny atak kaszlu przerwał jego wołanie.

Hrabia przystanął tylko po to, by obrzucić chłopaka pogardliwym spojrzeniem.

— Jak już powiedziałem, nie jesteś mi potrzebny i od tej pory nie zamierzam się tobą interesować. Zabierzcie go!

— Nie możesz mnie tak odesłać! — zawołał Bryan. — Jak będę żył?

Hrabia wskazał brodą miecz leżący na klepisku niedaleko Bryana. Chłopak był na tyle dojrzały, że dostał go od ojca na trzynaste urodziny, i nawet w mrocznej stajni widać było połyskujące na rękojeści klejnoty.

— Może przyda ci się bardziej w nowym życiu niż mnie w starym. Pozwólcie mu zabrać miecz — zwrócił się do strażników. — I nic więcej! Wróćcie z nazwą statku i pieczęcią kapitana potwierdzającą, że chłopak opuścił Anglię. Jeśli wypłynie przed świtem, będzie czekał na was mieszek srebra do podziału — dodał, po czym pomaszerował do swojego konia.

Bryan Lankford próbował krzyknąć za ojcem — powiedzieć mu, że jeszcze będzie tego żałował, że stwierdzi, iż owszem, jego siedemnastoletni trzeci syn przysparzał mu najwięcej kłopotów, ale jednocześnie był najbardziej utalentowany, inteligentny i interesujący... Jednakże kolejny paroksyzm kaszlu zawładnął chłopakiem tak potężnie, że mógł tylko łapać z trudem powietrze i przyglądać się bezradnie, jak jego ojciec odjeżdża na koniu szybkim galopem. Nie był nawet w stanie się opierać, gdy gwardziści związali go i wyciągnęli ze stajni.

— Najwyższy czas pokazać takiemu kogucikowi jak ty, gdzie jego miejsce. Zobaczymy, jak ci się spodoba wśród plebsu. — To powiedziawszy, Jeremy, najstarszy i najbardziej napuszczony ze wszystkich strażników ojca, rzucił go z sarkastycznym śmiechem na wóz do przewożenia drobiu. A potem pochylił się nad mieczem Bryana, podniósł go i patrząc chciwie na zdobioną rękojeść, wetknął sobie za pas.

Kiedy Bryan znalazł się w porcie, ciemność panowała już zarówno na dworze, jak i w jego sercu. Nie dość, że ojciec go wydziedziczył, wyrzucił z rodziny i z Anglii, to jeszcze chłopak utwierdzał się teraz w przekonaniu, że dopadła go jakaś straszliwa zaraza. Ile czasu trzeba, by go uśmierciła? Zanim opuści cuchnące doki czy dopiero później, gdy zaciągną go na jeden z tych statków kupieckich, które kołysały się na falach zatoki?

— Nie wezmę na pokład kogoś tak kaszłającego. — Kapitan uniósł kaganek nieco wyżej, przyglądając się spętanemu i rozkaszanemu chłopakowi. — Nie — dodał, krzywiąc się, i pokręcił głową. — Ze mną oceanu nie przepłynie.

— To syn hrabiego Lankforda. Weźmiesz go albo będziesz odpowiadał przed jego lordowską mością — warknął Jeremy.

— A ja tu żadnego hrabiego nie widzę. Widzę tylko ochłapanego łajnem chłopaka, który ma febrę. — Marynarz splunął na piasek. — I nie będę odpowiadał przed nikim, a zwłaszcza przed nieistniejącym hrabią, jeśli ten skurczybyk zarazi mnie na śmierć.

Bryan próbował powstrzymać kaszel — nie po to, by przekonać kapitana, lecz żeby złagodzić piekący ból w klatce piersiowej. Właśnie wstrzymywał oddech, kiedy z ciemności wyłonił się jakiś mężczyzna, wysoki, szczupły, cały ubrany na czarno. Jego blada cera stanowiła potężny kontrast z ciemnością, która zdawała

się go otaczać. Bryan zamrugał, zastanawiając się, czy to pod wpływem choroby wzrok płata mu figle, czy też naprawdę ten człowiek ma na środku czoła wytatuowany sierp księżyca w otoczeniu innych tatuaży. Widział jak przez mgłę, ale mógłby przysiąc, że niektóre rysunki przypominają skrzyżowane rapiery. A potem umysł dogonił wzrok i Bryan doznał olśnienia. Półksiężyc wraz z pozostałymi tatuażami mógł oznaczać tylko jedno: to nie był człowiek. To był wampir!

Dopiero wtedy stworzenie uniosło rękę i skierowało dłoń w stronę Bryana. Chłopak wpatrywał się zdumiony w zdobiącą ją spiralę, a wampir wypowiedział słowa, które miały na zawsze zmienić jego życie.

— Bryanie Lankford, Noc cię wybrała; narodzisz się poprzez śmierć. Noc cię wzywa; usłysz jej słodki głos. Twoje przeznaczenie oczekuje cię w Domu Nocy!

Długie palce wampira wskazały na Bryana, a wtedy jego czoło eksplodowało bólem, gdy na skórze pojawił się niczym wypalony płomieniem zarys sierpa księżyca.

Gwardziści ojca zareagowali błyskawicznie. Upuścili Bryana, odsunęli się od niego i tylko popatrywali z nieukrywanym przerażeniem to na chłopaka, to na wampira. Uwadze Bryana nie uszedł fakt, że kapitan rzucił kaganek, który syczał teraz na piasku, a sam zniknął w ciemności portu.

Bryan nie widział ani nie słyszał podchodzącego wampira — zauważył jedynie, że strażnicy poruszają się nerwowo, stają w grupce za plecami Jeremy'ego

z dłońmi na rękojeściach częściowo wyciągniętych mieczy. Na ich twarzach oraz w ruchach widać było niezdecydowanie. Wojownicy wampirscy cieszyli się powszechnym szacunkiem i poważaniem. Ich najemne usługi były w cenie, ale znano tylko urodę i siłę kobiet, wiedziano o czczonej przez nich bogini ciemności — poza tym większość ludzi nie miała pojęcia, czym zajmują się wampiry i jak wygląda ich społeczność. Bryan widział, że Jeremy próbuje ocenić, czy to stworzenie

— które z pewnością musiało należeć do Łowców

— jest też niebezpiecznym wojownikiem. A potem poczuł niesłychanie silny uchwyt na ramieniu i chwilę później został podniesiony na nogi i stanął twarzą w twarz z wampirem.

— Wracajcie, skąd przyszliście. Ten chłopak jest teraz naznaczonym adeptem i już wam nie podlega. — Wampir mówił z obcym akcentem, przeciągał każde słowo, co tylko potęgowało aurę tajemniczości i grozy, jaką wokół siebie roztaczał.

Mężczyźni się zawahali. Wszyscy jednocześnie spojrzeli na dowódcę.

— Potrzebujemy dowodu dla ojca, że chłopak opuścił Anglię — rzekł Jeremy szybko. Udało mu się to powiedzieć jednocześnie arogancko i zaczepnie.

— Wasze potrzeby mnie nie interesują — odparł wampir z powagą. — Powiedzcie ojcu, że chłopak wszedł dzisiaj na pokład statku o wiele mroczniejszego, niż planowaliście. Nie mam ani czasu, ani cierpliwości,

by dostarczyć wam innych dowodów niż moje słowo — dodał i spojrzał na Bryana. — Chodź ze mną. Przyszłość na ciebie czeka. — Odwrócił się, aż zatrzepotały poły czarnego płaszcza, i ruszył w stronę doku.

Jeremy odczekał, aż ciemność połknie przybysza, dopiero wtedy wzruszył jednym ramieniem i popatrzył na Bryana z pogardą.

— Nasza misja zakończona — powiedział. — Jego lordowska mość kazał wsadzić swojego łajdackiego syna na statek i to się właśnie zaraz stanie. Zabierajmy się z tego cuchnącego rybami portu, wracajmy do ciepłych łóżek w Lankford Manor.

Już się zaczęli odwracać, kiedy Bryan się wyprostował. Wystarczył mu ułamek sekundy, by wziąć głęboki wdech i przekonać się z ulgą, że dławiący obezwładniający kaszel zniknął. Wtedy zrobił krok do przodu i odezwał się głosem znów brzmiącym z siłą i spokojem.

— Macie zostawić mi mój miecz.

Jeremy zatrzymał się i odwrócił. Powolnym ruchem wyciągnął miecz z za pasa, gdzie go wcześniej wetknął. Ignorując chłopaka, zaczął się przyglądać rękojeści inkrustowanej szlachetnymi kamieniami. Uśmiechał się z wyrachowaniem, a kiedy znów popatrzył na Bryana, w oczach miał lód.

— Masz pojęcie, ile razy twój ojciec przerywał mi sen w ciepłym łóżku i kazał jechać po ciebie, bo znowu wdałeś się w jakąś bójkę?

— Nie, nie mam — odparł Bryan beznamiętnie.

— Oczywiście, że nie masz. Wy, panicze, myślicie wyłącznie o własnych przyjemnościach. A teraz, skoro zostałeś wydziedziczony i już nie należysz do szlachty," zatrzymam ten miecz oraz pieniądze, jakie dostanę z jego sprzedaży. Potraktuj to jako zapłatę za to, jakim byłeś dla mnie utrapieniem przez tyle lat.

Bryan poczuł napływ gniewu, a razem z nim jego ciało przeniknął żar. Działając zupełnie instynktownie, przybliżył się do aroganckiego strażnika. W głębi duszy wiedział, że jego ruchy są nienaturalnie szybkie, ale skupiał się tylko na jednej myśli, która była dla niego siłą napędową: Ten miecz należy do mnie. On nie ma do niego prawa.

Ruchem ręki tak prędkim, że wydał się plamą, wytrącił miecz z ręki Jeremy'ego, po czym od razu go złapał. Dwaj pozostali gwardziści ruszyli do natarcia, a wtedy machnął w dół i przeszył czubkiem miecza kości stopy najbliższego z nich. Mężczyzna zwinął się z bólu i upadł na ziemię. Bryan odskoczył i zmieniając kierunek, uderzył płazem miecza w głowę drugiego strażnika, który padł ogłuszony. Poruszając się ze śmiercionośną gracją, okręcił się i przytknął ostrze broni do szyi Jeremy'ego, tak że na skórze strażnika pojawiły się krople krwi.

— Ten miecz należy do mnie. Nie masz do niego prawa — usłyszał swój głos wypowiadający chodzącą mu po głowie myśl. Bryan był zaskoczony, że mówi

normalnie, nie był nawet zdyszany. Jeremy i pozostali powaleni strażnicy nie mogli mieć pojęcia, że wszystko w nim płonie z gniewu, oburzenia i pragnienia zemsty. — Teraz powiedz mi, dlaczego miałbym zrezygnować z podejrzenia ci gardła.

— No proszę. Uderz. Twój ojciec to żmija, a ty, chociaż wydziedziczony, nadał jesteś jego wężowatym synem.

Bryan zamierzał go zabić. Pragnął to zrobić — tego właśnie domagała się jego wściekłość i zraniona duma. Dlaczego nie miałby jej ulec? Strażnik był tylko chłopem, a do tego obraził jego, syna hrabiego! Zanim Bryan zdołał rozplatać gwardziście gardło, powietrze przeszyły słowa wypowiedziane przez wampira:

— Nie życzę sobie, by mnie ścigała i może nawet przesłuchiwała brytyjska marynarka wojenna. Daruj mu życie. Powrót do służby tym, którymi pogardza, będzie dla niego dotkliwszą karą niżeli szybka śmierć.

Nie odsuwając miecza od szyi strażnika, Bryan odwrócił się, by spojrzeć na wampira. Ten odezwał się głosem tak spokojnym, że słychać było w nim niemal nudę, jednak całym swoim jestestwem koncentrował się na gardle gwardzisty i czerwonych kropelkach, które uwolniło ostrze miecza. Ewidentna żądza wampira jednocześnie intrygowała i przerażała Bryana. Czy taki właśnie się stanę?

Chłopak odepchnął strażnika.

— On ma rację. Życie będzie dla ciebie lepszą karą niż mój miecz. Wracaj do swego żywota i goryczy, która ci towarzyszy. — Nie zaszczycił strażnika spojrzeniem, tylko odwrócił się i pomaszerował do wampira.

Ten nieznacznie kiwnął głową z aprobatą.

— Dokonałeś właściwego wyboru.

— Obraził mnie. Powinienem był go zabić. Wampir przechylił głowę, jakby ważył ciężar rozwiązania tego problemu.

— Czy nazwanie cię wężem stanowiło obrazę?

— No tak. A także nazwanie mnie rozpieszczoną osobą i próba pozbawienia mnie mojej własności.

Wampir zaśmiał się cicho.

— Porównanie do węża nie jest obelgą. To stworzenia sprzymierzone z naszą boginią, chociaż nie sądzę, żeby to właśnie miał na myśli. Przyglądałem się, jak pokonujesz tych trzech ludzi. Uderzasz raczej jak smok niżeli wąż. — Bryan zamrugnął ze zdziwienia, a wampir mówił dalej: — A przecież smoki za nic mają byle obelgi, jakimi śmiertelnicy mogą je obrzucać.

— Czy w Ameryce żyją smoki? — Bryan zwerbalizował pierwszą z kotłujących się myśli, które wypełniały mu umysł.

Wampir znów się roześmiał.

— Nie słyszałeś? Ameryka jest pełna cudów. — Po czym wykonał szeroki gest ręką i wskazał na nabrzeże. — Chodźmy, a wkrótce sam będziesz mógł je odkryć. Już dość czasu zmitrężyłem na tym starym

ładzie. Nie mam dobrych wspomnień z Anglii, a to, co przeżyłem, czekając na ciebie, wcale nie polepszyło mojej opinii.

Wampir ruszył w stronę doków, a Bryan musiał niemal biec, żeby za nim nadążyć.

— Powiedziałeś, że czekałeś na mnie?

— Tak — odparł wampir, zmierzając wytrwale w stronę wody.

— Wiedziałeś o mnie?

Wampir skinął głową, aż długie brązowe włosy zasłoniły mu twarz.

— Wiedziałem, że znajdę tu adepta, który czeka na naznaczenie — powiedział, po czym spojrzał na Bryana, a kąciki jego ust uniosły się w nieznacznym uśmiechu. — A ty, młody smoku, jesteś ostatnim adeptem, którego naznaczyłem.

— Ostatnim? — Bryan zmarszczył czoło. — A co się z tobą stanie? — zapytał z nadzieją, że w jego głosie nie słyhać niepokoju. W końcu prawie nie znał tego wampira. Jednak jako że był to wampir, wydawał mu się tajemniczą, niebezpieczną i dziwnie fascynującą postacią.

Wampir uśmiechnął się szerzej.

— Zakończyłem służbę jako jeden z Łowców Nyks, teraz mogę wrócić na stanowisko Syna Ereba w służbie Domu Nocy Tower Grove.

— Tower Grove? To w Ameryce? — Bryan poczuł ucisk w żołądku. Już niemal zapomniał, że jego świat

został wywrócony do góry nogami, i to w ciągu niecałego dnia.

— W rzeczy samej. A konkretnie w St. Louis w stanie Missouri.

Doszli do końca długiego nabrzeża — najciemniejszego, co nie uszło uwadze Bryana, bo słyszał skrzypienie wielkiego statku i plusk fal wokół kadłuba, ale chociaż wyteżał wzrok, dostrzegał jedynie wielki cień kołyszący się na wodzie. Zauważył, że wampir przystanął obok i przygląda mu się badawczo. Popatrzył mu prosto w oczy, choć jego ciało przypominało ciasno zwiniętą sprężynę gotową wyskoczyć w każdej chwili.

— Nazywam się Shaw — powiedział w końcu wampir i wyciągnął rękę.

— A ja Bryan Lankford — odparł Bryan i zamilkł na chwilę, a potem zdobył się na raczej sarkastyczny uśmiech. — I jestem byłym synem hrabiego Lankforda, ale to już przecież wiesz.

Shaw odwzajemnił uścisk Bryana tradycyjnie po wampirsku, mianowicie chwycił go za przedramię, a nie za samą dłoń. Bryan zrobił tak samo.

— Bądź pozdrowiony, Bryanie Lankford — powiedział Shaw. Puścił rękę chłopaka i wskazał gestem na ciemność i kryjący się w niej statek. — To Statek Nocy, który zabierze mnie, a być może i ciebie do Ameryki, do mojego ukochanego Domu Nocy Tower Grove.

— Być może i mnie? Sądziłem... Shaw uniósł dłoń, uciszając chłopaka.

— To prawda, musisz dołączyć do Domu Nocy, i to jak najszybciej. Ten znak — Shaw pokazał na zarys szafirowego sierpa księżyca, którego obecność Bryan boleśnie odczuwał na czole — wskazuje, że musisz przebywać w towarzystwie dorosłych wampirów, dopóki nie przejdziesz całkowitej przemiany w wampira albo... — zawahał się.

— Albo umrę — rzucił Bryan w ciemność. Shaw pokiwał głową z powagą.

— A więc wiesz coś na temat świata, do którego wejdiesz. Tak, młody smoku, albo przejdziesz przemianę w ciągu najbliższych czterech lat, albo umrzesz. Dzisiejszej nocy wkroczyłeś na ścieżkę życia, z której nie ma odwrotu. Powiedziałem strażnikom twojego ojca, że przyłączysz się do mnie w podróży do Nowego Świata, bowiem widziałem, jak bardzo im zależy, żebyś opuścił Anglię. Prawda jest jednak taka, że wraz z naznaczeniem zmieniło się coś więcej, nie tylko twój los.

— Na lepsze czy na gorsze? — zapytał "Bryan.

— Na to, co sam sobie gotujesz, jeśli taka będzie wola Nyks — odparł tajemniczo wampir. — Nie jesteś w stanie kontrolować przemiany, ale możesz wpłynąć na to, gdzie spędzisz najbliższe kilka lat. Jeżeli twoją wolą będzie pozostanie w Anglii, mogę poczynić przygotowania, byś został przyjęty do londyńskiego Domu Nocy. — Łowca oparł dłoń na ramieniu chłopaka. — Niepotrzebne ci już pozwolenie rodziny, by wybrać przyszłość, której pragniesz najbardziej.

— Mogę też odpłynąć z tobą?

— Tak, ale zanim dokonasz wyboru, powinienem ci coś pokazać. — Shaw odwrócił się w stronę statku, który dla Bryana był tylko olbrzymim czarnym konturem kołyszącym się złowieszczo na wodzie, zacumowanym za pomocą niewiarygodnie grubych lin. Shaw sprawia! wrażenie, jakby doskonale widział wszystko mimo gęstej zasłony nocy: przesunął się o dwa kroki ku krawędzi nabrzeża, a potem zrobił coś, co kompletnie zdumiało Bryana. Odwrócił się na południe, uniósł ręce i wypowiedział cicho cztery słowa: — Ogniu, przybądź do mnie.

W tej samej chwili Bryan usłyszał trzask i poczuł falę ciepła w otaczającym powietrzu. Zaparło mu dech z wrażenia, gdy pomiędzy rozpostartymi dłońmi Shawa zatańczyła kula ognia. Wampir cisnął nim, jakby rzucał piłką, w coś, co okazało się wielką stojącą pochodnią, której nasączony oliwą wierzchołek zapłonął.

— A niech to piorun! — Bryan nie krył zdumienia. — Jak to zrobiłeś?

Shaw się uśmiechnął.

— Bogini obdarzyła mnie nie tylko umiejętnościami wojownika, jednak nie to chciałem ci pokazać. — Uniósł pochodnię i przytrzymał przed sobą tak, że ich oczom ukazał się nagle dumny dziób wielkiego statku z drewna tak ciemnego, iż wyglądało, jakby zrodziło się z samej nocy. Nagle Bryan zamrugał, bowiem dotarło do niego, na co patrzy.

— To smok — powiedział, wpatrując się w rzeźbę na szczycie masztu.

Był to niezwykle imponujący smok — czarny, z rozpostartymi skrzydłami, wyszczerzonymi zębami, gotów ruszyć brutalnie na podbój świata.

— Uznałem, że w świetle dzisiejszych wydarzeń to dobry znak — powiedział Shaw.

Bryan patrzył na smoka ogarnięty kotłowaniną tak intensywnych emocji, jakich nigdy wcześniej nie doznawał. Dopiero po chwili je rozpoznał, a wtedy już wiedział: podekscytowanie, zniecierpliwienie oraz tęsknota połączyły się w nim w poczucie przeznaczenia. Chłopak spojrzał wampirowi w oczy.

— Podjąłem decyzję. Wybieram smoka.

ROZDZIAŁ TRZECI

Dom Nocy Tower Grove St. Louis, 1833 r.

— Bądź pozdrowiona, Anastasio! Wejdz, proszę. Świetnie się składa, że tu jesteś. Właśnie rozmawialiśmy z Dianą o tym, jak to wspaniale, że tak młoda kapłanka zaklęć i obrzędów dołączyła do naszej szkoły na stanowisko najwyższej profesorki. Miałam właśnie cię wezwać do siebie i powiedzieć ci, że jestem ogromnie uradowana tym, jak pasujesz do Tower Grove.

— Bądźcie pozdrowione Pandejo, Diano — odparła Anastasia, przykładając do serca zwiniętą w pięść dłoń i kłaniając się z szacunkiem najpierw najwyższej kapłance Pandei, a potem Dianie. Dopiero wtedy weszła do przestronnego, przepięknie urządzonego pomieszczenia.

— Ależ wejdź już. Nie musisz traktować nas tak oficjalnie, kiedy nie znajdujemy się w towarzystwie adeptów — powiedziała ciepło Diana, nauczycielka socjologii wampirskiej i partnerka najwyższej kapłanki. Jednocześnie pogłaskała niezwykle tłustego kota o trójbarwnej sierści, który rozłożył się na jej kolanach i głośno mruczał.

— Dziękuję — odparła Anastasia cichym głosem, którego brzmienie wskazywało na więcej niż dwadzieścia dwa lata.

— Powiedz nam, proszę — uśmiechnęła się Diana.

— Jesteś tu dopiero dwa tygodnie, czy już się zdomowiłaś? Czujesz się tu dobrze? Jak w domu?

Mój dom, pomyślała automatycznie Anastasia, nigdy nie był tak pełen piękna i wolności. Szybko jednak odpędziła od siebie te myśli.

— To jeszcze nie jest dom, ale czuję, że będzie — odpowiedziała uprzejmie i szczerze. — Uwielbiam prerie i bujne ogrody. — Jej wzrok poszybował w stronę grubej kotki, a potem szarego kocura w tygrysie pręgi, który właśnie się łąsił do nóg najwyższej kapłanki. Zamrugała ze zdumienia, bo zauważyła, że oba koty mają po sześć palców w przednich łapach.

— Sześć palców? Nigdy czegoś podobnego nie widziałam.

Diana pociągnęła delikatnie za łapę kotki.

— Niektórzy twierdzą, że polidaktylia jest niezgodna z naturą. Ja uważam, że te koty są po prostu nieco

bardziej zaawansowane w rozwoju niż tak zwane normalne koty. Mniej więcej tak samo, jak wampiry są w wyższym stadium rozwoju niż zwykli ludzie.

— Och, wyglądają jak futrzane rękawiczki! Tak bym chciała, żeby teraz, kiedy znalazłam swój Dom Nocy, jakaś kotka mnie sobie wybrała. Byłoby cudownie, gdyby też miała sześć palców! — Anastasia zdała sobie sprawę, że wypowiada na głos bzdurne myśli, więc szybko dodała: — Oczywiście bardzo lubię moich uczniów i zajęcia.

— Miło mi to słyszeć — odparła Pandeja, śmiejąc się cicho. — Młoda Anastasio, nie ma nic zdrożnego w pragnieniu znalezienia kota, czy to sześciopalczastego, czy nie. Diana i ja miałyśmy właśnie usiąść na balkonie przy schłodzonym winie. Przyłącz się do nas, proszę.

— Jestem wdzięczna za zaproszenie — rzekła Anastasia z pokorą i napominając się, by nie powiedzieć już nic głupiego, ruszyła za kobietami i ich kotami. Za przeszklonymi drzwiami ujrzała przepiękny, skąpany w księżycowym świetle balkon, na którym stał wiklinowy stół z krzesłami. Na stole znajdował się wypełniony pachnącymi różami kryształowy wazon z wizerunkiem idealnego sierpa księżyca, a obok niego srebrne wiaderko pełne lodu oraz karafka z winem w kolorze dojrziałych wiśni. W srebrnej poświacie pełnego księżyca mieniły się kieliszki z takimi samymi rzeźbieniami jak na fantastycznym wazonie.

Róże, lód, wino i kryształ. Przywykłam do prostoty i zasad, choć i jedno, i drugie pozostawało pod wpływem miłości. Czy kiedykolwiek przyzwyczaję się do takich luksusów? — zastanawiała się Anastasia, która czuła się wyjątkowo zakłopotana. Usiadła na jednym z krzeseł, powstrzymując chęć poprawienia długich jasnych włosów i obsesyjnego wygładzania sukienki. Nagle zerwała się na równe nogi.

— Ja... powinnam tobie nalać, kapłanko — zwróciła się z nerwowym uśmiechem do wysokiej posągowej dojrzałej wampirki.

Pandeya zaśmiała się i delikatnie trąciła ręką karafkę.

— Anastasio, córko, usiądź, proszę, i uspokój się. Jestem najwyższą kapłanką, a to oznacza, że radzę sobie z nalewaniem wina dla siebie i moich gości.

Diana pocałowała swoją partnerkę w policzek i sama zajęła miejsce.

— Moja kochana, doskonale sobie radzisz nie tylko z winem, ale z mnóstwem innych rzeczy.

Anastasia zauważyła, że kobiety patrzą na siebie z czułością, a policzki Pandei pokrywają się delikatnym różem. Jej policzki też się przy tym zarumieniły, więc szybko odwróciła wzrok. Chociaż spędziła sześć lat w Domu Nocy — najpierw jako adeptka, później na szkoleniu profesorskim — otwarta relacja homoseksualna Diany i Pandei czasami ją jeszcze zaskakiwała. Anastasia często się zastanawiała, co jej matka

by pomyślała o tak sfeminizowanym środowisku. Czy zaakceptowałyby je na swój cichy prywatny sposób tak, jak zrobiła z naznaczeniem i przemianą córki? Czy byłoby to dla niej zbyt wiele — zbyt by ją to szokowało — i dlatego potępiłaby je tak samo jak reszta ich społeczności?

— Czy my cię zawstydzamy? — zapytała Diana z uśmiechem w głosie.

Wzrok Anastasii natychmiast powędrował z powrotem do najwyższej kapłanki i jej partnerki.

— Na ucho śledzia, skąd! — wymknęło jej się i od razu poczuła falę gorąca na twarzy. Wiedziała, że z pewnością zrobiła się czerwona jak burak. Wyraziła się właśnie jak jej własna matka, a uświadomienie sobie tego sprawiło, że miała ochotę wpełznąć pod stół i rozpląnąć się w powietrzu.

Nie jesteś już nieśmiałą kwakierką, napomniała się stanowczo. Jesteś wampirem po przemianie, profesorką i kapłanką. Uniosła podbródek, próbując przyjąć dojrzały wygląd pewnej siebie osoby.

Pandeja uśmiechnęła się ciepło i uniosła jeden z trzech pucharków, które właśnie napełniła.

— Chciałabym wznieść toast. Za twój sukces, Anastasio, za zakończenie pierwszych dwóch tygodni pracy w charakterze profesorki zaklęć i obrzędów. Obyś pokochała Dom Nocy Tower Grove tak samo, jak my go kochamy. — Najwyższa kapłanka podniosła wolną rękę, tę, w której nie trzymała kieliszka, i zamknęła

oczy. Poruszała przy tym ustami, chociaż nie wydostawał się z nich żaden dźwięk, a potem wykonała nad wazonem z różami zgarniający ruch ręką, zupełnie jakby chciała zebrać ich zapach, i strzepnęła palce nad" każdym z trzech pucharów. Anastasia przyglądała się oczarowana, jak wino w jej kieliszku wiruje, po czym na ułamek sekundy czerwony płyn przybiera kształt idealnego kwiatu róży.

— Na boginię! Duch róży! Wywołałaś go w naszym winie! — wyrzuciła z siebie.

— Pandeja nie wywołała ducha róży. Duch jest jej żywiołem. Nasza najwyższa kapłanka wystosowała czułą prośbę, żeby uczcić ciebie, młoda Anastasio, a róża ochoczo na to przystała — wyjaśniła Diana.

Anastasia wypuściła długi oddech.

— To wszystko... — zaczęła i przerwała, obejmując wzrokiem stół, obie wampirki, zadowolone koty oraz wyjątkowe otoczenie Domu Nocy. — To wszystko napędza mnie takim uczuciem, że serce mi chyba zaraz wyskoczy z piersi! — zakończyła i skrzywiła się z zawstydzeniem. — Proszę mi wybaczyć. Zachowuję się jak małe dziecko. Chciałam tylko powiedzieć, że jestem wdzięczna za to, że mogę tu być, wdzięczna, że zostałam przez was wybrana na profesorkę w tym Domu Nocy.

— Podzielę się z tobą pewną tajemnicą, Anastasio. Z powodu kontaktu Pandeji z duchem wiele starszych i bardziej doświadczonych wampirów miało wrażenie,

że serce im wyskoczy z piersi — powiedziała Diana. — Tylko byli zbyt przygaszeni, żeby się do tego przyznać. Podobają mi się twoja szczerść, mam nadzieję, że z wiekiem jej nie stracisz.

— Postaram się — powiedziała Anastasia i upiła szybko wina, próbując uporządkować myśli i zdecydować, jak ma wyjawic obu kobietom, dlaczego naprawdę do nich przyszła. Zaraz pożałowała, że skosztowała trunku, bo jak można było się spodziewać, został zaprawiony krwią i teraz czuła w sobie napływ mocy potęgającej odczucia nerwowe i wszystkie zmysły.

— Ja także cieszę się z twojej szczerści — odezwała się najwyższa kapłanka pomiędzy kolejnymi łykami wina, które chyba w ogóle nie miało na nią wpływu. — Między innymi dlatego wybraliśmy cię na stanowisko nauczycielskie, chociaż masz za sobą zaledwie dwa lata szkolenia w dziedzinie zaklęć i obrzędów. Powinnaś wiedzieć, że Dom Nocy w Pensylwanii wystawił ci doskonałe rekomendacje.

— Moja mentorka była bardzo pobłażliwą osobą, kapłanko — odparła Anastasia i odstawiła kieliszek na stół.

— Przypominam sobie również, że wspominała o twoim bliskim kontakcie z żywiołem ziemi — ciągnęła Pandeja. — Także z tego powodu uznałam, że doskonale się przystosujesz do naszego Domu Nocy. Jesteśmy bramą na zachód. Rozpościera się przed nami tutaj majestat i tajemniczość cudownej nieokiełznanej

ziemi. Pomyślałam, że docenisz to i uznasz za niezwykle zajmujące.

— Tak jest, jednak nie uważam, żebym miała prawdziwy kontakt z ziemią — wyjaśniła Anastasia. — Przyznaję, czuję silny związek i niekiedy, jeśli mam wyjątkowe szczęście, ziemia użycza mi części swojej mocy.

Pandeja skinęła głową, sącząc wino.

— Jak zapewne wiesz, wiele kapłanek odkrywa w sobie prawdziwy kontakt z żywiołem dopiero po kilkudziesięciu latach w służbie bogini. Być może przekonasz się jeszcze, że zostałam rzeczywiście obdarzona kontaktem z ziemią. Nadal jesteś bardzo młoda, Anastasio.

— Nie poczuj się urażona moim pytaniem, ale ile tak naprawdę masz lat, Anastasio? Sprawiasz wrażenie, jakbyś dopiero co została naznaczona, nie wspominając już o Przemianie. — Diana złagodziła przykre pytanie uśmiechem.

— Diano! — odezwała się Pandeja łagodnie, ale w jej wzroku czaiła się dezaprobata pod adresem uderzająco pięknej partnerki. — Nie zaprosiłam tu Anastasii po to, by ją przesłuchiwać.

— Nie, nie mam nic przeciwko temu pytaniu, kapłanko. Co więcej, zaczynam się do niego przyzwyczajać — powiedziała Anastasia do Pandei, po czym odwróciła się do Diany, unosząc lekko podbródek. — Mam dwadzieścia dwa lata. Moja mentorka

w Pensylwanii powiedziała, że jestem chyba najmłodszą wampirką w Ameryce, która została najwyższą profesorką. To zaszczyt, postaram się udowodnić pracowitością oraz poważnym podejściem do zajęć i uczniów, że na niego zasługuję.

— Córkó, nie mam wątpliwości, że jesteś poważna i pracowita, ale chciałabym widzieć cię także jako osobę ziemiodobną — rzekła Pandeja.

— Ziemiodobną? Wybacz, kapłanko, nie znam tego słowa.

— Osoba ziemiodobną przybiera cechy ziemi. Jest żywa jak kępa dzikich kwiatów, płodna jak pszeniczne pole, zmysłowa jak sad pełen dojrzałych brzoskwiń. Masz nie tylko czuć związek z ziemią, masz pozwolić, by natchnęła cię swoimi cudami.

— I pamiętaj, że jesteś wampirską kapłanką i profesorką. Nie musisz się ubierać jak szykanowana purytańska nauczycielka — dodała Diana.

— Ja... ja nie chciałam wydać się frywolna — przyznała Anastasia z wahaniem, patrząc na pozbawioną zdobień bluzkę zapiętą wysoko pod szyją i prostą długą spódnicę, którą nosiła, nienawidząc jej serdecznie, od czasu, kiedy dwa tygodnie wcześniej pojawiła się w Domu Nocy Tower Grove i rozpoczęła pracę nauczycielki. — Jestem tak zbliżona wiekiem do moich uczniów, że czasami ciężko im pamiętać, że jestem profesorką.

Pandeja pokiwała głową ze zrozumieniem.

— Prawda jest taka, że jesteś zbliżona wiekiem do wielu naszych adeptów. Radzę, byś uczyniła to swoją siłą, a nie przeszkodą, którą będziesz starała się zwalczyć.

— Popieram — odezwała się Diana. — Niech młodość będzie twoim atutem, nie chowaj jej za strojami, których nigdy nie włożyłaby żadna starsza od ciebie kobieta o przyzwoitym guście. — Wskazała najpierw swoją powłóczystą suknię w stylu greckim, potem gauczowskie spodnie o wysokim stanie i do tego białą koronkową bluzkę z głębokim dekoltem, w które ubrana była jej partnerka.

— Anastasio, Diana próbuje właśnie ci przekazać, że nie ma nic zdrożnego w młodości — podjęła się wyjaśnić Pandeja. — Jestem pewna, że dziewczęta w szkole czują się swobodnie, przychodząc do ciebie z troskami, którymi nie miałyby odwagi się podzielić z żadną z nas.

Anastasia westchnęła z ulgą, bowiem oto pojawiła się idealna okazja, by porozmawiać o tym, co zajmowało jej myśli.

— Tak, to prawda. Właśnie to chciałam z wami przedyskutować.

Pandeja zmarszczyła czoło.

— Czyżby wśród adeptów pojawił się problem, o którym powinnam wiedzieć? — zapytała.

— Inny niż Jesse Biddle? — dopowiedziała Diana, wymawiając to nazwisko, jakby zostawiało jej w ustach gorzki posmak.

— Biddle stanowi problem dla wszystkich, tak dla adeptów, jak i dla wampirów, zwłaszcza odkąd ci omylni ludzie z St. Louis wybrali go na swojego szeryfa — odparła Pandeja, po czym spojrzała badawczo na Anastasię spod zmrużonych powiek. — Czyżby dokuczał naszym adeptom?

— Nic mi o tym nie wiadomo... — Anastasia przerwała i przełknęła ciężko ślinę, bo zaschło jej w gardle. Próbowwała uporządkować myśli, by najwyższa kapłanka nie zrozumiała opacznie jej słów. — Adeptci nie lubią szeryfa Biddle'a, ale nie on stanowi główny temat ich rozmów. Chodzi o kogoś innego, o kogoś, kto moim zdaniem stwarza spory problem w obrębie samego Domu Nocy.

— Któż tak cię niepokoi, Anastasio?

— Adept zwany Smokiem Lankfordem — odparła profesorka.

Wampirki zamilkły na kilka długich uderzeń serca Anastasii. Diana upiła wina, sprawiając wrażenie, jakby próbowała ukryć uśmiech, zaś Pandeja uniosła jedną brew.

— Smok Lankford? — zapytała. — Ale przecież od dwóch tygodni nie ma go w Tower Grove, wyjechał na Igrzyska Wampirów. Nawet się nie spotkaliście, a jednak twierdzisz, że stwarza dla ciebie problem?

— Nie, nie dla mnie. To znaczy zapewne problem ten ma związek ze mną, chociaż nie jest stricte mój. — Anastasia przetarła czoło. — Moment, może zacznę od

początku. Pytałyście, czy istnieje jakiś problem wśród adeptów, o którym wiem z racji swojego wieku i tego, że są skłonni ze mną rozmawiać. Moja odpowiedź brzmi: tak, zdaję sobie sprawę z problemu, a jego źródłem jest to, co nazwałabym obsesją na punkcie ucznia piątego formatowania zwanego Smokiem.

Diana nie próbowała już dłużej ukrywać uśmiechu.

— To dynamiczny chłopak, bardzo popularny wśród adeptek płci żeńskiej.

Pandeja skinęła głową, potwierdzając słowa swojej partnerki.

— Trafne sformułowanie. Właśnie pokonał wszystkich przeciwników, tak adeptów, jak i wampirów, i zdobył wymarzony tytuł mistrza szermierki na Igrzyskach Wampirów. Historia nie zna chyba przypadku, żeby ten tytuł zdobył ktoś przed Przemianą.

— Tak, wiem o tym zwycięstwie. Dziewczeta o niczym innym dzisiaj nie rozmawiały — odparła Anastasia kwaśno.

— I uważasz to za problem? Smok imponująco włada mieczem, a przecież jeszcze nie przeszedł Przemiany — zauważyła Diana.

— Chociaż nie zdziwię się, jeśli wkrótce zobaczę u niego dorosłe tatuaże — dodała Pandeja. — Zgadza się z Dianą: nie ma nic niezwykłego w tym, że dziewczeta zwracają uwagę na Smoka. Kiedy go poznasz — najwyższa kapłanka obdarzyła Anastasię uśmiechem — być może zrozumiesz ich fascynację.

— Nie martwiłoby mnie zwykle zainteresowanie

— wyjaśniła Anastasia pospiesznie. — Martwi mnie fakt, że wraz z zakończeniem dzisiejszych lekcji aż piętnastoro adeptów, trzynaście dziewcząt i dwóch chłopców, zgłosiło się do mnie pojedynczo, błagając o zaklęcie miłosne, które by pozwoliło usidlić Smoka Lankforda.

Anastasia poczuła ulgę, gdy tym razem milczenie obu kobiet pełne było zaskoczenia i zszokowania, a nie rozbawienia.

— To rozczarowująca wiadomość — odezwała się w końcu Pandeja, — ale nie tragiczna. Adeptci zdają sobie sprawę z moich zasad dotyczących zaklęć miłosnych: to głupota, a skutki mogą być dramatyczne. Nie można wyczarować ani wymusić miłości. — Najwyższa kapłanka pokręciła głową, ewidentnie zła na uczniów.

— Diano, chciałabym, żebyś w najbliższym tygodniu przeprowadziła zajęcia na temat tego, co się dzieje, gdy obsesja jest mylona z prawdziwym uczuciem.

— Dobrze. Może powinnam zacząć opowieścią o Herkulesie i jego obsesji na punkcie Hipolity, najwyższej kapłanki wampirów, oraz o tragedii, jaką się to dla nich zakończyło. Ta historia to ostrzeżenie, powinni ją dobrze znać, ale najwyraźniej o niej zapomnieli.

— Doskonały pomysł. — Pandeja skierowała na Anastasię spojrzenie swoich brązowych oczu. — Zakładam, że w odpowiedzi na te niestosowne prośby

przypomniałaś zbłąkanym adeptom, że w żadnych okolicznościach nie wygłosisz dla nich zaklęcia miłosnego?

Anastasia wzięła głęboki wdech.

— Nie, kapłanko. Nie tak brzmiała moja odpowiedź.

— Nie tak? Dlaczego... — zaczęła Diana. Przerwała jej uniesiona ręka partnerki.

— Wyjaśnij — powiedziała najwyższa kapłanka. Anastasia patrzyła na nią niezłomnym wzrokiem.

— Ja także nie pochwalam zaklęć miłosnych. Nawet kiedy zostałam naznaczona i zaczęłam wykazywać zdolności w tym kierunku, intuicja podpowiadała mi, że zaklęcia miłosne są nieuczciwe. Jestem niedoświadczona, lecz nie naiwna. Wiem, że miłość nie może istnieć w towarzystwie nieuczciwości.

— To słuszne spostrzeżenie, jednakże niczego nie wyjaśnia — stwierdziła Pandeja.

Młoda profesorka wyprostowała się i przeniosła wzrok na Dianę.

— Nazwałaś Lankforda osobą dynamiczną i popularną, czyż nie?

— Owszem.

— Czy powiedziałaabyś, że jest także arogancki? Diana uniosła jedno ramię.

— Przypuszczam, że tak, lecz nie ma w tym nic niezwykłego. Wielu naszych utalentowanych wojowników cechuje pewna arogancja.

— Pewna arogancja, owszem, ale czyż nie jest ona utemperowana doświadczeniem i opanowaniem dorosłego wampira? — zapytała Anastasia.

— Zgadza się.

Anastasia skinęła głową i przeniosła spojrzenie na najwyższą kapłankę.

— Wiele się mówi o Smoku, a ja przysłuchiwałam się wszystkiemu bardzo uważnie. Macie rację, twierdząc, że go nie znam, jednak dowiedziałam się, że Smok Lankford to adept, który bazuje na swoim mieczu i uśmiechu, a nie na mądrości i rozumie. Intuicja mi podpowiada, że gdyby moi zauroczeni uczniowie zobaczyli tego adepta takiego, jaki naprawdę jest, wkrótce straciliby całe zainteresowanie nim.

— Co dokładnie powiedziałaś adeptom? — chciała wiedzieć Pandeja.

— Oznajmiłam im, że nie mogę złamać zasad Domu Nocy i odprawić obrzędu z zaklęciem miłosnym, ale mogłabym zrobić coś innego: dla każdego adepta odprawić obrzęd przyciągający.

— Zaklęcie miłosne i przyciągające oddziela bardzo cienka linia — oznajmiła Diana.

— Owszem, a linię tę tworzą jasność, uczciwość i prawda — odparła Anastasia.

— Mam wrażenie, że każdy adept, który się do ciebie zgłosił, miał wyraźne, uczciwe i szczerze intencje, by zdobyć miłość Smoka Lankforda. — Pandeja wydawała się rozczarowana młodą profesorką. — A w takim

wypadku zaklęcie przyciągające zadziała tak samo jak miłosne. Jedyna różnica sprowadza się do semantyki.

— Tak rzeczywiście by było, gdybym obrzęd odprawiła dla Smoka. Ale ja zamierzam go odprawić dla* każdego ucznia, który do mnie przyszedł.

Rozczarowanie Pandeji ustąpiło uśmiechowi pełnemu satysfakcji.

— A więc chciałabyś, aby adepci dzięki zaklęciu ujrzeli Smoka wyraźniej.

— Stworzę dla każdego z nich wizję adepta Lankforda, wizję, która będzie uczciwa i prawdziwa, nie splamiona dziecinnym zauroczeniem jego napuszonym ego i pięknym uśmiechem.

— To może się udać — stwierdziła Diana. — Jednak zaklęcie wymaga delikatności i talentu.

— Intuicja mi podpowiada, że naszej młodej profesorce nie brakuje ani jednego, ani drugiego — oznajmiła Pandeja.

— Jestem wdzięczna, kapłanko, za pokładane we mnie zaufanie! — Anastasia prawie krzyknęła w poczuciu ulgi, po czym podniosła się z miejsca. — Z waszym pozwoleniem chciałabym odprawić obrzęd dzisiaj w nocy, podczas pełni księżyca.

Pandeja skinęła głową na znak zgody.

— To idealna pora na kończenie spraw. Masz moją akceptację, córko.

— Zamierzam dzisiaj w nocy zakończyć każde niezdrowe zaślepienie — powiedziała Anastasia,

przyłożyła do serca dłoń zwiniętą w pięść i pokłoniła się najwyższej kapłance i jej partnerce.

— Może się okazać, że nie każde zauroczenie Smokiem uda ci się dzisiaj zakończyć. Kogoś nadal może pociągać jego arogancja oraz uśmiech i egoistyczny urok! — zawołała za nią Diana.

— W takim razie ta osoba zasłuży na to, co dostanie — mruknęła Anastasia pod nosem.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Zakłęcie zaczęło się absolutnie prawidłowo. Później Anastasia była w stanie tylko kręcić głową i zastanawiać się, jakim cudem coś, co rozpoczęło się tak dobrze, mogło zakończyć się taką katastrofą.

Być może wszystko wydarzyło się dlatego, że jednak przebrała się z tego okropnie ograniczającego ją stroju, jaki zaczęła nosić, gdy została profesorką. Gdyby nie znajdowała się w tamtej właśnie chwili w tamtym dokładnie miejscu na takim a nie innym etapie odprawiania obrzędu — gdyby jeden z tych czynników uległ choćby minimalnej zmianie — byłoby zupełnie inaczej.

To znaczy właśnie wszystko wyglądało zupełnie inaczej, niż sobie wyobrażała.

Księżycowa poświata wydawała jej się taka cudowna, taka właściwa na jej nagich ramionach. Między innymi z tego powodu Anastasia znalazła się bliżej potężnej rzeki Missisipi, zaszła dalej, niż planowała.

Miała wrażenie, że księżyc ją woła, uwalnia z narzuconych przez nią samą głupich więzów, które — co stwierdzała, patrząc w przeszłość — były nieudaną próbą stania się kimś, kim wcale nie była.

Włożyła strój, który lubiła najbardziej: ulubioną długą miękką spódnicę w kolorze niebieskiego topazu. Miesiąc przed powołaniem do nowego cudownego Domu Nocy w St. Louis Anastasię zainspirowała suknia niezamężnych Indianek z plemienia Leni-Lenape. Nawet obszyła dół spódnicy oraz głęboki zaokrąglony dekolt mięciutkiej bluzki bez rękawów szklanymi paciorkami, muszlami oraz białymi skórzanymi frędzlami. Teraz zakręciła się kilka razy, by puścić w ruch muszle i frędzelki. Już nigdy więcej nie włożę tych okropnych, krępujących ruchy strojów. Kiedy byłam człowiekiem, tylko takie ubrania wolno mi było nosić, nie popełnię więcej tego błędu, powiedziała sobie surowo, a potem odrzuciła głowę do tyłu i odezwała się do wiszącego na atramentowym niebie księżycu:

— Taka właśnie jestem! Jestem profesorką wampirów, ekspertką w dziedzinie zaklęć i obrzędów. Jestem młoda i wolna!

Zamierzała skorzystać z rady najwyższej kapłanki. Chciała być ziemiodobna. Planowała odnaleźć siłę w swojej młodości.

— Będę ubierać się tak, jak zechcę, a nie jakbym była staroświecką panią nauczycielką. — Albo kwakierką z Pensylwanii, jak moja rodzina, którą

zostawiłam sześć lat temu, gdy zostałam naznaczona, dodała w myślach. Zatrzymam sobie spokojną, pełną miłości część przeszłości, tylko bez tych wszystkich ograniczeń i restrykcji. — Jestem ziemiodobna! — oznajmiła radośnie, praktycznie tańcząc po wysokiej trawie, która porastała większość prerii otaczających Dom Nocy Tower Grove.

I nie chodziło jedynie o wolność fizyczną, jaką dała Anastash zmiana ubrania, ale przede wszystkim o poczucie wolności wynikające z zaufania, jakie pokładała w niej Pandeja. Do tego należało dodać fakt, że noc była ciepła i jasna, a Anastasia miała zrobić coś, co wzbudzało jej niewysłowioną radość: odprawić obrzęd przynoszący korzyść Domowi Nocy — jej Domowi Nocy.

Jednak zatrzymanie się na polu upstrzonym słonecznikami okazało się lekkomyślnym błędem z jej strony. Wiedziała przecież, że słoneczniki przyciągają miłość i żądze, lecz w tamtej chwili nie myślała w ogóle o uczuciach, tylko o pięknie nocy i nęcącym uroku łąki. No i przecież zawsze kochała słoneczniki!

Łąka była tak bujnie porośnięta zielenią, że aż zapierało dech na jej widok. Znajdowała się całkiem blisko Missisipi, Anastasia widziała wierzby i akacje porastające wysoki, dość urwisty zachodni brzeg rzeki. Samej rzeki nie było widać, bo zasłaniały ją drzewa i urwisko, ale Anastasia ją czuła — bogaty zapach niosący w sobie zapowiedź żyznej ziemi, mocy i obietnicy.

Na środku łąki, idealnie usytuowany w srebrzystej poświacie księżyc w pełni, znajdował się wielki płaski głaz z piaskowca. Idealny ołtarz do odprawienia obrzędu zaklęcia przyciągającego.

Anastasia postawiła kosz na ziemi obok kamienia i zaczęła rozkładać rzeczy potrzebne do przeprowadzenia rytuału. Najpierw wyjęła srebrny kielich, prezent pożegnalny od mentorki. Było to proste, ale przepiękne naczynie ozdobione jedynie wyrytym konturem Nyks trzymającej w uniesionych wysoko dłoniach srebrny księżyc. Potem odwinęła zielony połyskujący obrus, w który otuliła dzban z winem wzmocnionym odrobiną krwi. Strzepnęła obrus, by się otworzył i opadł naturalnie na głaz. Na jego środku ustawiła kielich, po czym wyjęła z koszyka zapakowany w pergamin bochen świeżego chleba, kawał sera oraz kilka grubych plastrów aromatycznego gotowanego bekonu. Uśmiechając się do siebie, umieściła papier z jedzeniem obok kielicha, który napełniła winem.

Usatysfakcjonowana zapachem i widokiem uczy symbolizującej szczodrość bogini, wyciągnęła z koszyka pięć grubych podłużnych świec. Pólnoc znalazła od razu, wystarczyło obrócić się do rzeki, więc na najbardziej wysuniętym w tamtym kierunku fragmencie głazu postawiła zieloną świecę — symbol żywiołu, z którym utożsamiała się najbardziej, żywiołu ziemi. Ustawiając pozostałe świece w odpowiednich

miejskach — żółtą, symbol powietrza, na wschodzie, czerwoną, znak ognia, na południu, niebieską, uosobienie wody, na zachodzie i fioletową świecę ducha pośrodku — zaczęła kontrolować swój oddech. Wzięła kilka głębokich wdechów, wyobrażając sobie przy tym, że wciąga do płuc powietrze przepojone ziemią. Pomyślała o adeptach, o tym, jak bardzo zależy jej na ich dobru, oraz o tym, że ich dobro oznacza, iż powinni postrzegać siebie nawzajem wyraźnie i podążać swoimi ścieżkami prowadzeni prawdą i szczerością.

Kiedy wszystkie świece stały już na swoich miejscach, Anastasia wyjęła z koszyka pozostałe przedmioty: długą plecionkę z białej szalwii, puszkę z zapalnikami, pasek podpałki oraz trzy aksamitne woreczki — jeden z suszonymi liśćmi laurowymi, drugi z kłującymi igłami cedrowymi oraz trzeci pełen ciężkiej soli morskiej.

Przymknęła powieki i wysłała do swojej bogini tę samą milczącą, idącą z samego serca modlitwę, którą zawsze do niej kierowała przed każdym wygłaszanym zaklęciem i odprawianym rytuałem: *Nyks, przysięgam, że odprawiam ten obrzęd w dobrych intencjach.*

Otworzyła oczy i najpierw odwróciła się na wschód. Zapaliła żółtą świecę symbolizującą powietrze i wezwała żywioł do kręgu prostymi słowami:

— Powietrze, przybądź do mojego kręgu i wzmocnij moje zaklęcie!

Poruszając się zgodnie z ruchem wskazówek zegara, po kolei zapaliła cztery świece, wzywając wszystkie żywioły, a na koniec na środku ołtarza fioletową świecę ducha.

Wtedy skierowała się na północ, wzięła głęboki wdech i zaczęła przemawiać słowami płynącymi prosto z serca i duszy:

— Szałwia biała dokona tutaj oczyszczania — powiedziała, po czym przytrzymała splecione rośliny ponad płomieniem zielonej świecy ziemi. Kiedy się zapaliły, zaczęła okadzać powietrze nad ołtarzem, poruszając łagodnie wiązką ziela, aż popłynął z niej falami gęsty dym. — Cała zła energia zniknie bez wahania. — Podłożyła dymiącą szalwię i wyciągnęła lewą rękę, układając palce w miseczkę. Po chwili sięgnęła do pierwszego aksamitnego woreczka i rozgniatając suszone liście, wypowiedziała dalszą część zaklęcia: — Jasność i przejrzystość liście lauru wniosą. Poprzez ziemię ich moc pomknie ku niebiosom. — Wyjęła igły cedru i wdychając ich aromatyczny zapach, zmieszała je na dłoni z rozgniecionymi suszonymi listkami. — Cedr odwagą mnie natchnie, zawsze chronić mnie będzie. Siły swojej użyczy, aby wzmocnić zaklęcie.

Z trzeciego woreczka nabrała maleńkich kryształków soli morskiej, ale nie dodała ich do pozostałych składników, tylko uniosła dłoń z mieszanką cedrowo-laurową i odchyliła głowę do tyłu. Napawała się podszytą ogniem bryzą, która pachniała wodą rzeki

i uniosła jej gęste jasne włosy, dowodząc, że żywioły rzeczywiście przyłączyły się do kręgu i teraz czekają, by usłyszeć i wypełnić jej prośbę. Gdy zaczęła wypowiadać słowa zaklęcia, jej głos przyjął niezwykle melodyjną nutę, zupełnie jakby recytowała poemat napisany do muzyki, którą słyszała jedynie jej dusza.

Obrzęd przyciągania pragnę przeprowadzić, By nieklamany obraz oczom wszystkich zdradzić. Liście wawrzynu prawdę ujawnić dopomogą, Bo miłość się nie może butą żywić młodą. Od występków chłopca siła cedru chroni, Doda nam odwagi, by cel nasz odsłonić.

Dorzuciła ostatni składnik zaklęcia — sól, która w jej palcach wydawała się taka śliska.

— Pragnę, by soli kryształ zaklęcie związały — zakończyła, po czym podeszła do zielonej świecy, wzięła kolejny głęboki wdech i uporządkowała myśli.

Nadeszła pora, by przywołać imię Smoka Lankforda, a potem po kolei wypowiedzieć nazwiska piętnastu adeptów, posypując płomień ziemi szczyptą magicznie przyrządzonej mieszanki, modląc się i licząc na to, że każde zaklęcie zadziała i wszyscy adepci ujrzą obraz Smoka — wyraźny, prawdziwy i szczery.

Niechaj w magii płomienia spłoną myśli zwodnicze, Ukazując Bryana Lankforda prawdziwe oblicze!

Ledwo wypowiedziała jego imię, kiedy to się zdarzyło. Powinna była właśnie wsypywać szczyptę mieszanki do płomienia i wymienić Doreen Ronney kompletnie zauroczoną Smokiem, ale noc wokół niej wybuchła chaosem i testosteronem, bo z za pobliskiego krzaku głogu wyskoczył młody adept z wyciągniętym mieczem.

— Uciekaj! Jesteś w niebezpieczeństwie! — krzyknął do Anastasii i bezceremonialnie ją pchnął. Straciła równowagę, zaczęła machać bezładnie rękoma, a magiczna mikstura poszybowała wysoko, wysoko w powietrze, Anastasia natomiast upadła nisko, nisko na pupę. I tak siedziała, patrząc z przerażeniem, jak ciepły wiatr, który towarzyszył jej, odkąd stworzyła krąg, porywa miksturę, wieje mocno i ciska ją całą prosto w twarz tego chłopaka.

Czas jakby się zatrzymał w miejscu. Zdawało się, że na ułamek sekundy rzeczywistość poruszyła się i rozdzieliła. W jednej chwili Anastasia spoglądała na adepta, który zamarł w powietrzu z wyciągniętym w górę mieczem niczym posąg młodego boga wojownika. W następnej powietrze pomiędzy nią a znieruchomiałym adeptem rozświetliło się światłem przypominającym płomień świecy. Światło falowało i wirowało tak jaskrawo, że Anastasia musiała unieść rękę i zasłonić oczy. Kiedy w końcu popatrzyła na oślepiający blask przez zmrużone powieki, jasność rozdzieliła się pośrodku, rozsuwając się po obu stronach adepta, i jak gdyby

otoczyła go namacalną świetlistą ramą. Nagle z samego centrum tego zjawiska, tuż przed nosem chłopaka, wyłoniła się inna postać. Początkowo była niewyraźna. A potem zrobiła krok do przodu w stronę Anastasii, tak że blask ją oświetlił i zasłonił! całkowicie adepta.

Widmo miało wzrost i figurę jak chłopak. I też trzymało w ręku miecz. Anastasia spojrzała mu w twarz. Jaka dobra twarz. I jaka piękna — to pierwsze, co przyszło jej do głowy, zanim ogarnął ją wstrząs i zaskoczenie. A potem zabrakło jej tchu, bo zdała sobie sprawę, na kogo patrzy.

— Ty jesteś nim! Tym adeptem za tobą! To ty! Tyle że nie był to chłopiec. Absolutnie nie. Widmo

było dorosłym mężczyzną, wampirem po Przemianie z niezwykle egzotycznymi tatuażami, które przedstawiały dwa smoki patrzące na wypełniony księżyc pośrodku czoła. Ciało, skrzydła i ogony smoków sięgały w dół i otaczały jego mocną szczękę i pełne wargi — wargi, które właśnie uniosły się w rozbrajająco uroczym uśmiechu.

— Nie, nie jesteś adeptem — stwierdziła Anastasia, przenosząc wzrok z ust wampira na jego brązowe oczy, w których również widać było iskierki uśmiechu.

— Sama mnie przyciągnęłaś, Anastasio. Powinnaś wiedzieć, kim jestem. — Głęboki głos był bardzo miły dla ucha.

— Przyciągnęłam cię? Ale ja... — Anastasia przerwała w pół zdania. Co powiedziała tuż przed tym,

kiedy pojawił się ten adept i cały spryskał się jej magiczną miksturą? Ach, przypomniała sobie. — Powiedziałam tylko: „Niechaj w magii płomienia spłoną myśli zwodnicze, ukazując Bryana Lan"... — Nie dokończyła zdania. Zaczęła się wpatrywać w tatuaże wampira... w tatuaże przedstawiające smoki. — Jak to możliwe? Nie możesz być Bryanem Lankfordem! I skąd wiesz, kim ja jestem?

Wampir uśmiechnął się szerzej.

— Zapomniałem, że jesteś taka młodziutka — odparł i nie spuszczać z niej wzroku, ukłonił się wytwornie. — Anastasio, moja ukochana, moja kapłanko, Bryan Lankford jest właśnie taki, jakiego przyciągnęłaś. To ja nim jestem — powiedział i zaśmiał się krótko. — Od tak dawna nikt oprócz ciebie nie nazywa mnie Bryanem.

— Nie miałam zamiaru przyciągnąć cię dosłownie! A poza tym jesteś stary! — wyrzuciła z siebie i od razu poczuła, że się rumieni. — To znaczy, nie jesteś stary. Chodziło mi to, że jesteś starszy od adepta. Jesteś wampirem po Przemianie, ale nie starym wampirem. — Anastasia marzyła tylko o tym, żeby zniknąć pod kamieniem pełniącym rolę ołtarza.

Śmiech Bryana zabrzmiał ciepło, przyjaźnie i bardzo atrakcyjnie.

— Prosiłaś o mnie prawdziwego i takiego właśnie mnie przyciągnęłaś. Ukochana, taki właśnie się stanę w przeszłości, taki będę jako stary, jak to powiedziałaś,

w pełni ukształtowany wampir. Tamten adept za moimi plecami toja dzisiaj. Młodszy, owszem, lecz także porywczy i niepewny siebie.

— Skąd mnie znasz? I dlaczego nazywasz mnie ukochaną? — I dlaczego przy tobie moje serce trzepocze jak podekscytowany ptaszek gotów poderwać się do lotu?, dodała w myślach, bo nie była w stanie wypowiedzieć tych słów na głos.

Mężczyzna przybliżył się i ukucnął przy Anastasii. Powoli z szacunkiem dotknął jej twarzy. Nie poczuła ręki, ale i tak jego bliskość pozbawiła ją tchu.

— Znam cię, ponieważ jesteś moją ukochaną, Anastasio. A ja jestem twój. Popatrz mi w oczy. Powiedz prawdę: co w nich widzisz?

Zrobiła, o co poprosił. Nie miała wyboru. Jego spojrzenie ją hipnotyzowało, jak zresztą wszystko w tym wampirze. Popatrzyła mu prosto w oczy i zatopiła się w tym, co w nich zobaczyła: dobroć i siłę, prawość i humor, mądrość oraz miłość, kompletną, bezbrzeżną miłość. W jego oczach rozpoznała wszystko to, co wyobrażała sobie u prawdziwego mężczyzny.

— Widzę wampira, którego mogłabym pokochać — odparła bez wahania, po czym dodała pospiesznie: — Ale jesteś wojownikiem, to oczywiste, a ja nie mogę...

— Widzisz wampira, którego kochasz — poprawił ją. Powstrzymał cisnące się jej na usta słowa, pochylił

się, ujął jej twarz w swoją dłoń i przycisnął wargi do jej warg.

Anastasia nie powinna była niczego poczuć. Później odtwarzała tę scenę wielokrotnie w swoim umyśle, próbując dojść do tego, jak przywołana zjawia człowieka mogła wzbudzić w niej tyle uczuć, chociaż przecież nie była w stanie jej dotknąć. Teraz jednak tylko drżała i wstrzymywała oddech, kiedy jej ciało przeszło pożądanie do tego mężczyzny, czy to prawdziwego, czy tylko wyimaginowanego.

— Ooooch — westchnęła, kiedy niestety odsunął się od niej powoli.

— Ukochana, jedyna, jestem i wampirem, i wojownikiem. Wiem, że wydaje ci się to niemożliwe, ale wierzę, że aby stać się osobą, którą widzisz, człowiekiem dobrym i silnym, prawym i zabawnym, mądrym i kochającym, potrzebuję ciebie. Bez ciebie, bez nas jestem tylko skorupą tego, czym mógłbym się stać. Jestem smokiem bez człowieka. Tylko dzięki tobie mężczyzna może stać się silniejszy od smoka. Pamiętaj o tym, kiedy moja młodsza, arogancka i porywcza wersja będzie próbowała doprowadzić cię do szaleństwa

— powiedział, odsuwając się coraz dalej.

— Nie odchodź!

Jego uśmiech wypełnił jej serce.

— Nie odchodzę. Nigdy dobrowolnie cię nie opuszczę, ukochana. Będę tutaj, będę dorastał i uczył się.

— Spojrzał na zastygłą postać adepta, zaśmiał się, po

czym znów popatrzył jej w oczy. — Nawet jeżeli będę czasami trudny, daj nam szansę, Anastasio. Podchodź do mnie z cierpliwością, jesteśmy tego warci. Och, i nie pozwól mi zabić tego niedźwiedzia, on wcale nie chciał ci zrobić krzywdy. On tylko tak ja został tu przyciągnięty, ponieważ pewne zaklęcie dziwnym magicznym trafem nie do końca się udało. Ani on, ani ja... — przerwał, a jego głos złagodniał — ...ani nawet ten mój młody arogancki odpowiednik, żaden z nas nie ma dzisiaj wrogich zamiarów. Ukochana, nigdy nie pozwolę, żeby stała ci się krzywda.

Kiedy wypowiedział te ostatnie słowa, Anastasia poczuła, jak przez jej ciało przebiega zimny dreszcz, jakby jakiś bóg albo bogini nagle wlał jej w żyły lodowatą wodę. Zadrżała ogarnięta złymi przeczuciami, ale i silnym pożądaniem, a wtedy dorosła zjawa Bryana Lankforda, nie spuszczając z niej wzroku, skoczyła do tyłu. Światło rozbłysło i wampir połączył się ze swoją młodszą wersją, która natychmiast ożyła.

Anastasia czuła się, jakby właśnie uderzyła w nią lokomotywa, jeden z tych potężnych pożerających węgiel pociągów, które przemierzały Amerykę z jednego końca na drugi. Przyglądała się młodszej wersji wampira, którego nieziemski dotyk nadal poruszał ją do głębi. Chłopak jedną ręką wycierał załzawione oczy, w drugiej trzymał miecz skierowany na olbrzymiego niedźwiedzia brunatnego, który nagle pojawił się przed nim na tylnych łapach. Był tak wielki, że

Anastasia sądziła przez chwilę, iż tak samo jak dorosła zjawą Bryana Lankforda, on także powstał jakimś cudem z jej zaklęcia, stanowiąc w rzeczywistości jedynie kombinację mgły, dymu, cieni i magii.

W tym samym momencie zwierzę zaryczało, aż powietrze zawibrowało od tego dźwięku, i Anastasia stwierdziła, że to nie jest żadna iluzja.

Lankford błyskawicznie odzyskał jasność widzenia i przesuwał się w stronę stworzenia z ewidentnie morderczymi zamiarami.

— Nie rób mu krzywdy! — krzyknęła Anastasia. — Ten niedźwiedź został przywiedziony tu przypadkiem przez moje zaklęcie. On nie ma złych zamiarów.

Bryan cofnął się o krok, poza bezpośredni zasięg ogromnych pazurów zwierzęcia. Anastasia widziała, że przygląda się uważnie niedźwiedziowi.

— Wiesz to dzięki swojej magii? — zapytał, nie spuszczać wzroku ze stworzenia.

— Tak! Daję słowo — odparła.

Zerknął przelotnie w jej stronę i w jego spojrzeniu na ułamek sekundy pojawiło się dziwne rozpoznanie. Potem jednak zamrugął.

— Obyś miała rację — mruknął.

Anastasia musiała zacisnąć usta, żeby nie krzyknąć: „Twoja dorosła wersja na pewno by tak nie powiedziała!”.

Wątpiła, czy w ogóle usłyszałby jej krzyk. Całą uwagę skupił ponownie na niedźwiedziu.

Ogromne stworzenie górowało nad Bryanem swoim wielkim cielskiem, ale chłopak tylko złapał najbliższą stojącą świecę i przytrzymał przed sobą. Płomień czerwonej świeczki buchał niczym pochodnia.

— Ha! Uciekaj! — krzyknął głosem o wiele bardziej władczym, niż Anastasia mogła się spodziewać po kimś, kto nie był wampirem. Jeszcze. — Wynoś się! Uciekaj! To tylko przypadek, kapłanka wcale nie chciała cię przyciągnąć!

Niedźwiedź wzdrygnął się przed oślepiającym blaskiem płomienia, pomrukując i sapiąc. Bryan zrobił krok do przodu.

— Powiedziałem: idź sobie!

Anastasia przyglądała się z ogromną ulgą, jak zwierzę opada na cztery łapy i sapnąwszy po raz ostatni na adepta, odchodzi statecznie ku rzece. Instynktownie poderwała się na nogi i podbiegła do Bryana.

— Już dobrze, już nic ci nie grozi. Wszystko jest pod kontrolą... — mówił, lecz Anastasia nie zważając na jego słowa, wyjęła mu z ręki płonąca czerwoną świecę.

— Nie przerywaj kręgu. To zakłęcie ma zbyt wielką moc, by je zmarnować — odezwała się surowo.

W ogóle na niego nie patrzyła, nie chciała bowiem, żeby cokolwiek ją rozpraszało. Osłoniła płomień dłonią i delikatnie odstawiła świecę na miejsce, na najbardziej wysunięty na wschód fragment ołtarza. Dopiero wtedy odwróciła się do Bryana Lankforda.

Chłopak miał jasne włosy, długie i gęste, związane z tyłu, co od razu przypomniało jej włosy starszego Bryana — również jasne, długie i gęste, jednak zwisające luźno do ramion, okalające jego łagodną twarz. Jakimś cudem jednocześnie nie pamiętała, ale i pamiętała dokładny odcień jego pięknych brązowych oczu.

— O co chodzi? Nie przerwałem kręgu. Świeca nie zgasła ani na moment. Widzisz? Stoi tam, gdzie stała.

Anastasia zdała sobie sprawę, że gapi się na chłopaka w milczeniu. Na pewno sądzi, że jestem zupełną kretynką, przeszło jej przez myśl. Otworzyła usta, by powiedzieć coś, co wyjaśniłoby choćby częściowo dziwaczność tej nocy, i wtedy spojrzała na niego tak naprawdę. Sól poprzyklepiała mu się do twarzy, kryształki utkwily wśród brwi, we włosach miał pokruszone liście laurowe oraz igły cedru. Chichot, który wyrwał się nagle z jej piersi, zaskoczył ich oboje.

Bryan uniósł brwi.

— A więc ryzykuję życie, żeby ochronić cię przed dziką bestią, a ty się ze mnie śmiejesz?

Próbował przybrać oburzony poważny ton, jednak Anastasia dostrzegła w jego oczach wesołe iskierki.

— Masz na sobie składniki mojego zaklęcia i dlatego owszem, wyglądasz zabawnie. — Wyglądał też chłopięco i całkiem przystojnie, ale to spostrzeżenie zachowała wyłącznie dla siebie. A przynajmniej tak jej się wydawało, bo kiedy stali, wpatrując się w siebie, iskra w oku Bryana przerodziła się w porozumiewawcze

spojrzenie. Kiedy jego usta zaczęły się wyginać w uśmiechu, Anastasia poczuła dziwny ucisk w żołądku, więc szybko dodała: — Nie powinnam się śmiać bez względu na to, jak wyglądasz. Moje składniki na twojej twarzy oznaczają, że będę musiała jeszcze raz przyrządzić całą miksturę.

— Nie trzeba było nią we mnie rzucać — odparł, odrzucając arogancko głowę.

Rozbawienie Anastasii zaczęło maleć.

— Nie rzuciłam nią w ciebie. Wiatr zwiął ci ją w twarz, kiedy upadłam, gdy mnie popchnąłeś.

— Naprawdę? — Uniósł palec, jakby sprawdzał, skąd wieje bryza. — A jaki wiatr?

Anastasia zmarszczyła czoło.

— W takim razie sama musiała się zwiąć albo wiatr ucichł, bo moje zakłęcie zostało przerwane.

— A poza tym wcale cię nie popchnąłem — ciągnął Bryan, jakby Anastasia się nie odezwała. — Przesunąłem cię za siebie, żeby cię chronić.

— Nie potrzebowałam twojej ochrony. Ten niedźwiedź to przypadek, był zdezorientowany, a nie groźny. Wygłaszałam właśnie zakłęcie przyciągające i jakimś cudem zwierzę dostało się w jego zasięg — wyjaśniła.

— Ach, więc to było zakłęcie przyciągające. — Irytacja wkradająca się do jego głosu ustąpiła zupełnie, zastąpił ją arogancki śmiech i kolejne porozumiewawcze spojrzenie. — To dlatego wypowiedziałaś moje imię. Pragniesz mnie.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Smok uśmiechnął się szeroko, widząc, jak policzki młodej kapłanki pokrywają się uroczym różem.

— Źle odczytałeś moje zamiary — odparła Anastasia.

— Sama powiedziałaś, że wygłaszałaś zaklęcie przyciągające. Słyszałem, jak wypowiadasz moje imię. To oczywiste, że musiałaś przyciągać mnie. — Bryan zamilkł, myśląc, że teraz to wszystko zaczyna nabierać sensu. — Nic dziwnego, że zostawiłem Shawa i pozostałych wojowników i wracałem do domu samotnie. Sądziłem, że to ze względu na Biddle'a. Obserwował mnie wcześniej, kiedy wyjeżdżałem na Igrzyska Wampirów, więc wiem, że mnie nie lubi, ale dzisiaj jego spojrzenie było tak twarde, tak dziwne, że chyba przez nie poczułem się nieswojo, jakbym nie mógł oddychać. Musiałem przyjść tutaj, bo tu jest przestrzeń i powietrze, i... — zaśmiał się i obdarzył ją zapowiedzią

swojego słynnego uśmiechu. — Ale to nie ma znaczenia. Tak naprawdę jestem tu, bo ty mnie pragniesz. — Potarł podbródek z namysłem. — Nie spotkaliśmy się dotąd, jestem tego pewien, bo takiej piękności bym nie zapomniał. Czy to moja reputacja wojownika sprawnie posługującego się mieczem wzbudziła twoje zainteresowanie, czy raczej bardziej osobista sprawność...

— Bryan, nie pragnę cię!

— Mów do mnie Smok — odparł mechanicznie i ciągnął swój wywód: — Oczywiście, że mnie pragniesz. Właśnie przyznałeś się do wygłoszenia zaklęcia przyciągającego. Nie musisz się wstydzić, prawdę powiedziawszy, to mi schlebia.

— Smoku — odezwała się Anastasia w sposób, który jej zdaniem graniczył z sarkazmem. — Wstydzę się, ale nie z twojego powodu, wstydzę się za ciebie.

— Nie ma w tym ani krzty sensu. — Bryan zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem nie uderzyła się w głowę, upadając.

Kapłanka wzięła głęboki wdech, po czym wypuściła powietrze z ciężkim westchnieniem. A potem wyciągnęła do adepta rękę ze słowami:

— Bądź pozdrowiony, Bryanie Smoku Lankford. Jestem profesor Anastasia, nowa kapłanka zaklęć i obrzędów w Domu Nocy Tower Grove.

— Bądź pozdrowiona, Anastasio — odparł chłopak, chwytając ją za nagą rękę, miękką i ciepłą w dotyku.

— Profesor Anastasio — poprawiła go. Zbyt pośpiesznie wyswobodziła się z jego uchwytu i dodała:

— Nie miałeś się dowiedzieć o tym zaklęciu.

— Ponieważ nie chcesz, by ktokolwiek wiedział, że mnie pragniesz? — Łącznie ze mną, dodał w duchu.

— Nie. To zaklęcie nie ma nic wspólnego z pragnieniem ciebie. Wręcz przeciwnie — oznajmiła i ciągnęła wyjaśnienia takim głosem, jakby wygłaszała wykład w sali pełnej adeptów: — To zabrzmiało niezbyt przyjemnie, ale prawda jest taka: znalazłam się tutaj, żeby przeprowadzić coś, co sprowadza się właściwie do zaklęcia anty-Smokowego.

Jej słowa go zaskoczyły.

— Czyżbym obraził cię w jakiś sposób? Nawet mnie nie znasz. Jak więc możesz pałać do mnie niechęcią?

— Nie chodzi o to, że pałam do ciebie niechęcią — powiedziała szybko, zupełnie jakby chciała coś ukryć.

— Prawda wygląda inaczej. Przez te dwa tygodnie, odkąd uczę w Domu Nocy Tower Grove, aż piętnaście osób przyszło do mnie z prośbą o zaklęcie miłosne, które pomoże im cię zdobyć.

Smok otworzył szeroko oczy.

— Piętnaście? Naprawdę? — Zamilkł, dokonując pośpiesznych obliczeń. — Przychodzi mi do głowy jedynie dziesięć dziewcząt, które chciałyby mnie w sobie rozkochać.

Nauczycielka nie wydawała się wcale rozbawiona.

— Powiedziałałabym, że nie doceniasz siebie, gdyby nie fakt, że to niemożliwe. Załóżmy więc, że jesteś lepszy we władaniu mieczem niż w dodawaniu. W każdym razie przysłałam tutaj, żeby odprawić obrzęd, który miał przyciągnąć przed oblicze twoich zauroczonych wielbicieli prawdę o tobie. Tak by się przekonali, że nie jesteś dla nich właściwym partnerem, i pozbyli się niemądrego zaślepienia — dokończyła szybko.

Smok nie pamiętał, kiedy ostatni raz był tak zdumiony. Nie, to nieprawda. Ostatnim razem czuł tak dogłębne zdziwienie, gdy noc rozświetliła się płomieniem i jego oczom ukazał się maszt statku zabierającego go do nowego życia. Pokręcił teraz głową i powiedział pierwsze, co przyszło mu na myśl:

— Trudno mi w to uwierzyć. Chyba naprawdę musisz czuć do mnie niechęć. Kobiety zwykle mnie lubią. Nawet bardzo.

— Oczywiście. I dlatego aż trzynaście z nich poprosiło mnie o zaklęcie.

— Zdawało mi się, że mówiłaś o piętnastu.

— Trzynaście dziewcząt. Dwóch chłopców — odparła sucho. — Najwyraźniej chłopcom też się podobasz.

Niespodziewanie Smok wybuchnął śmiechem.

— A widzisz? Wszyscy mnie lubią oprócz ciebie.

— Ja nie lubię jednego: tego, że tylu łatwowiernych młodych adeptów durzy się w tobie. To niezdrowe.

— Dla kogo? Ja czuję się świetnie. — Bryan uśmiechnął się do Anastasii, obdarzając ją całym swoim urokiem osobistym.

Wydawało mu się, że jej surowe spojrzenie nieco złagodniało, a w wielkich turkusowych oczach pojawiła się jakaś ciepła nuta, ale kolejne słowa oblały go niczym kubek lodowatej wody:

— Gdybyś był bardziej dojrzały, przejmowałabyś się uczuciami innych.

— Doprawdy? — skrzywił się. — Mam prawie dwadzieścia lat — oznajmił i otaksował ją wzrokiem. — A ty?

— Dwadzieścia dwa — odparła, unosząc podbródek.

— Dwadzieścia dwa! To za mało, żeby zostać profesorką, i za mało, żeby strofować mnie za brak dojrzałości.

— A jednak jestem twoją profesorką zaklęć i obrzędów. I ktoś powinien ci wyjaśnić, kim mógłbyś być, gdybyś zachowywał się dojrzałej. Ko wie, może z odrobiną pomocy w końcu dorośniesz i zostaniesz prawym honorowym wojownikiem?

— Właśnie wróciłem z igrzysk, na których zdobyłem tytuł mistrza szermierki. Cechuje mnie już prawość i honor, chociaż nie przeszedłem jeszcze Przemiany.

— Honoru i prawości nie wygrywa się w zawodach. Zdobywa się je w życiu poświęconym tym ideałom.

Anastasia spojrzała mu w oczy, a wtedy zdał sobie sprawę, że nie powiedziała tego protekcjonalnym tonem. Wydawała się dziwnie smutna — i jakby przegrana. Smok nie miał pojęcia, dlaczego od razu owładnęła nim ochota, by coś powiedzieć, zrobić coś, co wygładzi tę bruzdę niepokoju na jej poza tym gładkim czole.

— Wiem o tym, Anastasio... profesor Anastasio — poprawił się w porę. — Jestem oddany szkoleniom prowadzonym przez Synów Ereba. Któregoś dnia zostanę wojownikiem, będę przestrzegał ich norm szczerości, lojalności oraz męstwa. — Z zadowoleniem przyjął fakt, że uśmiechnęła się na te słowa, chociaż naprawdę nieznacznie.

— Mam taką nadzieję. Uważam, że mógłbyś zostać wspaniałym wojownikiem.

— Ja już jestem wspaniały — odparł Smok i uśmiech wrócił na jego twarz.

Znów go zaskoczyła, patrząc mu prosto w oczy, jak gdyby sama była wojowniczką.

— Skoro jesteś taki niesamowity, udowodnij to. Smok wywinął mieczem, po czym skłonił się nisko,

zaciskając pięść na rękojeści i przyciskając ją do piersi, zupełnie jakby już był wojownikiem, Synem Ereba, a ona jego kapłanką.

— Daj mi zadanie! Wskaż niedźwiedzia, którego mam zgładzić, by udowodnić swoją wartość!

Tym razem uśmiechnęła się szeroko, a Smok pomyślał sobie, że jej już i tak piękna twarz rozświetliła się

szczęściem, które zdawało się roztaczać jasny blask. Jej usta, pełne wargi wygięte w uśmiechu tak go rozpraszały, że zamrugał zdezorientowany.

— Kto? Ja? — zapytał, gdy zdał sobie sprawę, że Anastasia pokazuje na niego. — Nawet wampirka, która jest zbyt młoda, żeby zostać profesorką, powinna widzieć, że nie jestem niedźwiedziem.

— Założyłam, że kiedy poprosiłeś o wyznaczenie zadania, które miałyby udowodnić twoją wartość, użyłeś przenośni.

— Zadania? — Smok znów zamrugał. Przecież to był żart. Co ona sobie pomyślała?

— Cóż, może to nie do końca prawdziwe zadanie, ale na pewno sposób, żebyś udowodnił swoją wyjątkowość.

Smok zrobił dumny krok do przodu. No, teraz wreszcie mówiła do rzeczy!

— Jestem gotów wykonać rozkaz, moja pani — rzekł swoim najbardziej czarującym głosem.

— Doskonale. W takim razie podejdź do ołtarza. Pomożesz mi odprawić obrzęd.

Dumny krok nagle gdzieś zniknął.

— Chcesz, żebym pomógł ci w zaklęciu, na skutek którego dziewczyny przestaną mnie lubić?

— I chłopcy. Nie zapominaj o tamtych dwóch chłopcach. Poprawka: nie przestaną cię lubić. Zaklęcie pozwoli im widzieć cię wyraźnie, bowiem usunie mgłę zauroczenia twoją osobą.

— Przyznam, że to dość podejrzany zabieg. Zupełnie jakbym miał odciąć sobie rękę, żeby udowodnić, jak wybitnie posługuję się mieczem.

— Nie musisz mi pomagać — oznajmiła, odwracając się do ołtarza. Zaczęła robić coś przy świecach, a potem zajęła się trzema aksamitnymi woreczkami leżącymi obok kielicha i jedzenia.

Smok wzruszył ramionami i ruszył przed siebie. Nie przejmował się tym, że ta dziwna młoda kapłanka postanowiła skomplikować mu życie miłosne. No i co, jeśli te trzynaście adeptek przestanie się nim interesować? (Chłopaków nie liczył). Odkąd odkrył przyjemność obcowania z kobietami, nauczył się jednego: zawsze znajdą się takie, które będą go pragnęły. Już nawet zaczął zaśmiewać się pod nosem, kiedy dotarły do niego kolejne słowa wypowiedziane przez kapłankę.

— Zresztą zapomnij o mojej prośbie. Powinieneś wracać do Domu Nocy. Zbliża się świt, adepci są już dawno w łóżkach.

Zatrzymał się, obrócił na pięcie, gotów ciskać w nią ogniem. Odezwała się do niego tak, jakby był dzieckiem! Chyba nie zdawała sobie sprawy z efektu, jaki wywarły jej słowa, bo nadal kręciła się przy ołtarzu odwrócona do niego plecami, jak gdyby już kompletnie wymazała Smoka Lankforda z pamięci.

Myliła się co do niego. Nie był dzieckiem, nie brakowało mu uczciwości, lojalności ani męstwa. Postanowił, że jej pokaże i... i...

Nagle usłyszał swój głos mówiący:

— Zostanę i pomogę ci odprawić obrzęd. Rzuciła mu spojrzenie przez ramię, a wtedy w jej

dużych niebieskich oczach dostrzegł zaskoczenie oraz coś, co wyglądało jak zadowolenie i sympatia. Jednak jej głos brzmiał nonszalancko.

— To dobrze. Podejź tu i usiądź na brzegu kamienia — powiedziała. — Postaraj się nie ruszyć obrusa ani nie przewrócić świecy.

— Oczywiście, moja pani, cokolwiek rozkażesz — mruknął pod nosem.

Kiedy do niej dołączył, uniosła brew, ale się nie odezwała, tylko wróciła do ustawiania świec i porządkowania ołtarza.

Przyglądał się jej podczas tych czynności. Potwierdzało się pierwsze wrażenie, jakie na nim wywarła: była piękna, drobna, o długich gęstych pszenicznie jasnych włosach sięgających jej do pasa. Mimo że drobna, i tak cechowała się wspaniałymi krągłościami wyraźnie widocznymi pod lnianą bluzeczką i powiewającą niebieską spódnicą. Zwykle nie przykładał wagi do ubioru kobiet — preferował swoje panie nago — ale strój Anastasii był ozdobiony muszlami, koralikami i frędzlami, przez co wyglądała jak nieziemska zaczarowana istota. Wrażenie potęgowały tatuaże, kombinacja kwiatów i pnączy tak drobiazgowo oddanych, że wyglądały jak żywe.

— No dobrze, jestem gotowa zaczynać. A ty? — zapytała.

Zamrugnął i znów skupił się na zadaniu. Był zły na siebie, że przyłapała go, jak się w nią wpatruje.

— Jestem gotów. Już się nie mogę doczekać, kiedy poznam nazwiska adeptek, które poprosiły cię o zaklęcie miłosne — odezwał się prowokującym tonem i przeniósł wzrok z ołtarza na Anastasię.

Ta jednak pozostała niewzruszona.

— Ponieważ pomagasz mi przy zaklęciu, nie trzeba wymieniać imion i nazwisk adeptów. Twoja obecność i współpraca dodadzą mocy całemu zaklęciu i dzięki temu wpłynie ono na wszystkich, którzy są tobą oczarowani.

Smok parsknął śmiechem.

— W takim razie dobrze, że nie mam chwilowo ukochanej. To, co teraz zrobimy, zepsułoby nasz związek.

— Nie zepsułoby, gdyby ta osoba naprawdę interesowała się tobą, a nie twoim napuszonym obrazem.

— W twoich ustach brzmi to tak, jakbym był aroganckim bucem.

— A jesteś?

— Nie! Jestem sobą!

— W takim razie zaklęcie nie wpłynie na nikogo, kto pragnie prawdziwego ciebie.

— Dobrze, już dobrze. Rozumiem. Miejmy to za sobą. Co mam zrobić?

Anastasia odpowiedziała mu pytaniem na pytanie:

— Przez trzy lata uczyłeś się zaklęć i obrzędów, prawda?

— Tak — skinął głową.

— Dobrze. Wymieszam więc zioła na twojej dłoni, przytrzymaj ją jak miseczkę — pokazała mu na swoim przykładzie. — O tak. Zioła cię dotkną i dzięki temu wzmocnią zaklęcie. Jak sądzisz, uda ci się dokończyć chociaż niektóre fragmenty zaklęcia, jeśli cię poprowadzę?

Stłumił w sobie gniew. Jej głos nie brzmiał protekcjonalnie, brzmiał tak, jakby Anastasia nie brała pod uwagę możliwości, że on lubi naukę — że może być dobry w czymkolwiek innym niż władanie mieczem.

A więc profesor Anastasię czeka niespodzianka.

— Skoro pytasz, najwyraźniej nie sprawdziłaś ocen, jakie uzyskałem u poprzedniej nauczycielki zaklęć i obrzędów — odparł bez emocji z nadzieją, że gdy usłyszy jego ton, uwierzy, że jedna dobra ocena gonila drugą.

Młoda profesorka westchnęła ciężko.

— Nie, nie sprawdziłam.

— A więc wiesz o mnie tylko, jak bardzo zakochane są we mnie adeptki.

Popatrzyła mu w oczy, a wtedy dostrzegł w jej chąbrowym spojrzeniu uczucie, którego nie był w stanie zidentyfikować.

— Wiem, że któregoś dnia będziesz wojownikiem, ale to wcale nie znaczy, że potrafisz odprawiać obrzędy.

— Mogę dać ci jedynie słowo, że postaram się wypaść jak najlepiej — odpowiedział, zastanawiając się, dlaczego przejmuje się tym, co ona sobie myśli.

Anastasia zamilkła na chwilę, jak gdyby starannie dobierała słowa.

— Dziękuję ci, Bryanie — powiedziała tylko, kiedy się w końcu odezwała. Skłoniła też lekko głowę w jego stronę.

— Nazywaj mnie Smok — odparł, starając się nie pokazać po sobie, jak bardzo rozczulił go ten wyraz szacunku.

— Smoku — poprawiła się. — Przepraszam, ciągle zapominam. To dlatego, że Bryan tak do ciebie pasuje.

— Gdybyś znalazła się po drugiej stronie mojego miecza, powiedziałaabyś, że to Smok do mnie pasuje — odparł. Od razu zdał sobie sprawę, że musiało to zabrzmieć wyjątkowo arogancko, więc dodał pospiesznie: — Co nie znaczy, że mógłbym zaatakować kapłankę. Chodziło mi tylko o to, że gdybyś mnie zobaczyła w pojedynku na miecze, zrozumiałabyś moje przezwisko. Gdy walczę, staję się smokiem.

— To raczej nie powinno nastąpić zbyt szybko — powiedziała.

— Naprawdę mnie nie lubisz.

— Nie! To nie ma z tobą nic wspólnego. Nie cierpię przemocy. Zostałam wychowana... — Anastasia przerwała w pół zdania. — To pozostaje bez związku

z zaklęciem przyciągania, a my musimy się skupić. Zaczynamy. Weź trzy głębokie powolne wdechy razem ze mną i oczyść umysł.

Smok wcale tego nie chciał. Chciał zapytać ją o to, jak została wychowana — co się stało, że tak bardzo nie lubi przemocy — jednak trzy lata nauki zaklęć i obrzędów sprawiły, że automatycznie zrobił, o co prosiła, i zaczął oddychać tak jak ona.

— Krąg jest już utworzony, tego nie musimy powtarzać — odezwała się, podnosząc z ołtarza gruby nadpalony warkocz z szaławii. — Czy wiesz, co to jest?

— Biała szaławia — odpowiedział.

— Dobrze. Czy wiesz, do czego jest stosowana w zaklęciach?

Celowo się zawahał, jakby musiał mocno się zastanowić.

— Żeby oczyścić powietrze z negatywnej energii? — Bryan świadomie przekształcił odpowiedź w pytanie.

— Tak. Prawidłowo. Bardzo dobrze. — Anastasia odezwała się do niego tak, jakby był pierwszoformatowcem. Ukrył uśmiech, tymczasem ona przytrzymała splecioną trawę nad zieloną świecą ziemi. Zaczęła wymachiwać nią w kierunku zgodnym z ruchem wskazówek zegara, odwróciła się do niego i powiedziała: — Szaławia biała dokona tutaj oczyszczania... — przerwała i popatrzyła na niego wyczekująco.

— Cała zła energia zniknie bez wahania — bez zająknięcia dopowiedział resztę zaklęcia, które dokończyło proces oczyszczania za pomocą szaławii.

Obdarzyła go słodkim uśmiechem zadowolenia, na którego widok oddech uwiązał mu w tchawicy. Poczuł nagle ogromną radość z tego, że zawsze był wyjątkowo dobry z zaklęć i obrzędów.

Anastasia odłożyła dymiącą trawę na ołtarz, po czym wyjęła z pierwszego aksamitnego woreczka szczyptę ziół. Podeszła do Smoka, a on wyciągnął rękę z palcami ułożonymi w miseczkę, tak jak mu pokazała. Anastasia posypała mu dłoń kawałkami suszonych liści, których zapach wydał mu się znajomy nie dlatego, że chwilę wcześniej znalazły się na jego twarzy, ale dlatego, że przez trzy lata uważał na zajęciach. Toteż kiedy kapłanka powiedziała:

— Jasność i przejrzystość liście lauru wniosą... — a potem przerwała i popatrzyła na niego, odpowiedział automatycznie i bez wahania:

— Poprzez ziemię ich moc pomknie ku niebiosom.

Nagrodziła go kolejnym słodkim uśmiechem i włożyła rękę do drugiego woreczka. Odwróciła się następnie i posypała liście laurowe suszonymi igłami.

— Cedr odwagą mnie natchnie, zawsze chronić mnie będzie...

— Siły swojej użyczy, aby wzmocnić zaklęcie — wyrecytował szybko, nie czekając, aż Anastasia skończy zdanie.

Tym razem Anastasia uśmiechnęła się z namysłem, na co Smok poczuł satysfakcję. Siedział zadowolony z siebie, uśmiechał się, wiedząc, że ostatnim składnikiem będzie sól, która zwiąże zaklęcie, ale kapłanka zszokowała go kompletnie, bo położyła mu delikatnie dłoń na głowie. Drgnął pod jej dotykiem, a jego wzrok powędrował ku jej oczom. Były szeroko otwarte i słyszał, że brakuje jej tchu.

— By zaklęciu dodać prawdy i mocy... — zaczęła i przerwała. Tym razem siedział w milczeniu, tylko serce mu łomotało, gdy zsunęła rękę w dół, na jego policzek. — Coś od ciebie muszę wziąć tej nocy. — Na szczupłych białych palcach okręciła kilka kosmyków, które wymknęły się spod skórzanej opaski przytrzymującej jego włosy. Pociągnęła mocno. I szarpnęła, wrywając kilka kosmyków, które upuściła na jego wyczekującą dłoń.

Powstrzymał pragnienie, by krzyknąć i rozmasować sobie czaszkę.

Dopiero wtedy Anastasia włożyła rękę do trzeciego aksamitnego woreczka i wyjęła kryształki soli. Nie posypała nimi jednak mieszanki w jego dłoni. Zamiast tego chwyciła go za drugą rękę i poprowadziła zgodnie z ruchem wskazówek zegara wokół palących się świec. Jej głos zmienił się, gdy doszła do sedna zaklęcia.

Smok nie mógł dokończyć za nią zdania, ponieważ tego akurat zaklęcia nigdy jeszcze nie słyszał. Gdy poruszali się wokół kamienia, a Anastasia wymówiła magiczne słowa, poczuł, jak ogarnia ich płynąca od nich moc. Zafascynowało go zaklęcie, czuł jego przyciąganie, jakby miało objętość i ciężar.

Zaklęcie przyciągania pragnę przeprowadzić, By nieklamany obraz oczom wszystkich zdradzić. Liście wawrzynu prawdę ujawnić dopomoga, Bo miłość się nie może butą żywić młodą. Od występków chłopca siła cedru chroni, Doda nam odwagi, by cel nasz odstąpić.

Tak się napawał dźwiękiem jej głosu, że musiała minąć dłuższa chwila, nim jego umysł przetworzył wypowiedziane przez nią słowa. Zanim zrozumiał, że prawdopodobnie nazwała go aroganckim łobuzem, zatrzymali się przed czerwoną świecą ognia i profesorka odwróciła się w jego stronę. Przytrzymała jego dłoń pełną ziół, po czym dodała do nich soli, recytując:

— Pragnę, by soli kryształy zaklęcie związały. Przesunęła ich złączone dłonie nad czerwoną świeczką, nabrała mieszanki i wrzuciła do płomienia.

Niechaj w magii płomienia spłoną myśli zwodnicze, Ukazując Bryana Lankforda prawdziwe oblicze.

Płomień zaskwierczał, połknął mieszankę magicznych ziół i wystrzelił tak wysoko, że Smok musiał odsunąć rękę, by się nie poparzyć.

W Domu Nocy Tower Grove piętnaścioro młodych adeptów nagle zamarło. Zbliżał się świt, więc siedem dziewcząt już spało. Do ich snu wkradła się pachnąca laurem i cedrem sugestia:

Prawda niech błyszczy jak gwiazdy na niebie: W przyszłości Smoka nie ma miejsca dla ciebie...

Sally McKenzie chichotała, rozmawiając ze swoją koleżanką z pokoju, Isis, o tym, jaki przystojny jest Smok, kiedy nagle przechyliła głowę i odezwała się do Isis:

— Chyba... chyba powinniśmy zmienić zdanie.

Chociaż siłą i męstwem naznaczony, Bryan Lankford nie jest nam przeznaczony.

Śmiech zamarł na ustach Isis, dziewczyna wzruszyła ramionami i pokiwała głową. Obie zdmuchnęły świece przy łóżkach i poszły spać z poczuciem sporego niepokoju.

W umysłach obu zauroczonych chłopców pojawiła się nie pozostawiająca wątpliwości myśl:

Doświadczyć jego dotyku nie będzie ci dane, pragnienia Bryana gdzie indziej skierowane.

Jeden z nich zapłakał cicho w poduszkę. Drugi wpatrywał się w księżyc w pełni, zastanawiając się, czy kiedykolwiek ktoś go pokocha.

Cztery z sześciu adeptek, które kończyły właśnie swoje obowiązki w kuchni, zastygły nad wykonywaną pracą. Camellia spojrzała na Annę, Anyę oraz Beatrice i powiedziała:

*Moja inteligencja jest zbyt wysoka,
Bym mogła wierzyć, że skradnę serce Smoka.*

Annie zapało dech i z wrażenia upuściła porcelanową filizankę, którą trzymała w dłoni. Naczynie rozbiło się w drobny mak, przerywając pełną zdumienia ciszę.

W jego łóżku szukałam serca i czułości, Lecz nie znajdę tam nigdy prawdziwej miłości.

Anya odezwała się jako trzecia, pochylając się, by pomóc koleżance pozbierać odłamki:

Miecz jest wszystkim dla niego, Nie chcę życia takiego.

I wreszcie Beatrice wypowiedziała swoje słowa, blada, bo krew odpłynęła jej z twarzy:

*Człowiek jest moim przeznaczeniem,
Wampir nigdy nie będzie mej miłości spełnieniem.*

W wystawnej części mieszkalnej Domu Nocy Tower Grove najwyższa kapłanka leżała w łóżku i przyglądała się, jak jej partnerka szykuje się do snu, kiedy na twarzy ślicznej Diany pojawił się wyraz zaskoczenia:

Przyszłość Smoka Lankforda będzie Poza wyobraźni naszej zasięgiem.

— Diano? Nic ci nie jest? — Pandeja dotknęła policzka swojej partnerki i spojrzała jej głęboko w oczy.

Diana pokręciła głową niczym kotka próbująca strząsnąć z siebie wodę.

— Nie, tylko... to było dziwne. To nie były moje słowa.

— A o czym myślałaś, zanim je wypowiedziałaś? Diana wzruszyła ramionami.

— Chyba zastanawiałam się, czy wszyscy wojownicy wrócili już z igrzysk i czy Smok przyniósł chwałę naszemu Domowi Nocy.

Najwyższa kapłanka pokiwała głową, bo nagle wszystko zrozumiała.

— To zakłęcie Anastasii. Przywołało prawdę o Smoku tym osobom, które myślały o nim w czasie, gdy obrzęd był odprawiany.

— Przecież nie jestem zauroczoną Smokiem adeptką! — prychnęła Diana.

— Oczywiście, że nie, kochanie — uśmiechnęła się Pandeja. — To tylko ukazuje siłę zakłęcia młodej Anastasii. Możemy mieć pewność, że od jutra po Domu Nocy nie będzie się kręcił żaden zaślepiiony uczuciem adept.

— Aż mi żal tego chłopca.

— Niech ci nie będzie go żal. Gdyby któryś z adeptów miał go kochać naprawdę, odrobina prawdy nie zaszkodziłaby tej miłości. Zresztą zakłęcie ujawniło ci, że Smok ma przed sobą świetlaną przyszłość.

Diana odwzajemniła uścisk partnerki.

— A już na pewno będzie to ciekawa przyszłość — powiedziała.

* * *

W Domu Nocy w Chicago, gdzie dopiero co zakończyły się Igrzyska Wampirów, piękna młoda Aurora zamarła w pół słowa nad listem, który pisała do pewnego adepta. Do chłopaka, który ogrzewał jej łóżko i serce po tym, jak pokonał wszystkich pozostałych szermierzy i zdobył tytuł mistrza szermierki, jednocześnie zdobywając uczucie Aurory. Teraz jednak wampirka odłożyła pióro, uniosła cienką kartkę do płomienia najbliższej świecy i zrozumiała, jak bardzo prawdziwe są słowa, którymi wypełnił się nagle jej umysł:

To było tylko zauroczenie,

Inny wampir zawładnie serca mego drzeniem.

Co ona sobie myślała? Smok stanowił uroczą odskocznnię od codzienności, ale nic więcej.

I wreszcie w posępnym ceglanym budynku, który pełnił funkcję więzienia w St. Louis w Missouri, podszept wiatru spłynął w dół, bardzo nisko... ku czeluściom tajnego pomieszczenia, w którym szeryf Jesse Biddle kroczył w tę i we w tę przed zamkniętym w srebrnej klatce stworzeniem. Nie tyle rozmawiał ze swoim więźniem, ile do niego przemawiał.

— Muszę nauczyć się lepiej wykorzystywać twoją moc. Muszę zyskać siłę, by stanąć przeciwko wampirom. To takie pyszalki. Zupełnie jakby im się wydawało, że są normalni, że mają prawo tu przebywać! — wykrzyczał. — Nienawidzę ich, nienawidzę ich wszystkich! Zwłaszcza tego smarkacza. Trzeba było zobaczyć, jak wysiada dzisiaj z łodzi. Napuszony swoim zwycięstwem. Wiesz, jak nazywa sam siebie? Smokiem się nazywa, Smokiem Lankfordem! Przecież to żaden smok. To ten sam mały skurczybyk, który kręci się tu od trzech lat, machając tym swoim błyszczącym mieczykiem, jakby był lepszy od wszystkich. Od wszystkich ludzi. Co za arogancki suk...

Stworzenie wydało z siebie niezwykle dziwaczny przeszywający lament, aż Biddle poczuł ciarki na plecach.

— Zamknij się albo znów obleję cię soloną wodą. Przypali cię jak zwykłą kurę, którą jesteś!

Szeryf poczuł na sobie spojrzenie oczu, które w głowie potężnego kruka wydawały się niepokojąco ludzkie. Chociaż stworzenie było tylko na wpół cielesne, jego oczy świeciły silną niewzruszoną czerwienią.

*W twej obsssssessssji Ssssmokiem przyszłość mi się mieni.
Widzę wyraźnie, że on hissstorię zmieni.*

Biddle popatrzył na stwora z obrzydzeniem.

— A dlaczego miałoby mnie to obchodzić?

Jego miłość jest orężem, Którym takich jak my zwycięży.

— O czym ty gadasz, wstrętne bestio?

Jeśli Smok będzie świecił żarem uniesienia, Pozbawi nas wnet ciemności płomienia.

Na te słowa Biddle zamarł. Złapał w pułapkę tę na wpół cielesną bestię o ludzkich cechach, kiedy wchłaniała ostatki sił z umierającego indiańskiego szamana. Czerwonoskóry starzec zdołał zarzucić na stworzenie tę dziwną srebrną klatkę, ale był zbyt słaby — zbyt bliski śmierci — żeby wydobrzeć po ataku bestii. Biddle przechodził właśnie obok chaty szamana i usłyszał jego ostatnie słowa:

— Spal białą szalwią, by go odpędzić. Wypełnij klatkę turkusami. Wrzuć go do beczki ze słoną wodą, by już nigdy nie mógł wykraść nikomu siły...

Biddle podjął szybką decyzję. Musiałoby go pokręcić, żeby miał wypełnić polecenia starego rannego Indianina. Już ruszył przed siebie, zostawiając ciało i to coś w klatce z przekonaniem, że ktoś inny posprząta ten bałagan.

I wtedy stworzenie popatrzyło na niego czerwonymi oczami. Ludzkimi oczami.

Niemal tak samo pełen obrzydzenia, jak zafascynowany widokiem, Biddle przysunął się bliżej klatki, żeby przyjrzeć się dokładniej stworzeniu.

I wtedy je ujrzał. W cieniu wokół stwora poruszała się ciemność.

Podszedł jeszcze bliżej.

W tym momencie poczuł coś. Poczul moc płynącą" od stworzenia przez klatkę, po podłozie aż do martwego Indianina, gdzie zatrzymała się, uniosła nad ciałem, a potem wpełzła do krwi, która zebrała się w kałuży przy ustach starca.

Coś w tych wijących się ciemnych cieniach przyciągało Biddle'a, zmuszało, by podszedł jeszcze bliżej, by wyciągnął rękę. Działając pod wpływem impulsu pochodzącego z najgłębszych zakamarków umysłu, Biddle stanął pomiędzy klatką a zwłokami Indianina, wkraczając w macki ciemności.

Zamknął teraz oczy, bo na wspomnienie tamtej chwili ogarnęła go ekstaza. Ból był ostry, przeszywający i nagły, ale takie samo było poczucie mocy i przyjemność, które nim owładnęły, gdy część ciemności wnikła przez skórę do jego duszy.

Biddle nie zniszczył stworzenia.

Trzymał je w zamknięciu i karmił krwią, lecz tylko sporadycznie. Bo dzięki picciu krwi stworzenie rosło w siłę — tak samo jak i Biddle. Szeryf obawiał się, że może się wydostać ze srebrnej klatki.

Teraz przyglądał się na wpół ukształtowanej bestii mroku i próbował przekonać samego siebie, że wcale nie jest takim samym więźniem jak jego ofiara.

W tej samej chwili stworzenie poruszyło się niespokojnie i odezwało dziwnie melodyjnym głosem, z większym animuszem niż kiedykolwiek w ciągu ostatnich dwóch tygodni:

Prawda jest jedna i się nie zmienia: Jeśli Smok będzie świecił żarem uniesienia, Pozbawi nas wnet ciemności płomienia.

Biddle zbliżył się do klatki.

— Płomień ciemności. Masz na myśli to, z czego jesteś zrobiony, to, co cię otacza. — To, co czasami ja z ciebie wysysam, dodał w myślach. Nie powiedział jednak tego na głos.

Stworzenie popatrzyło mu w oczy, a wtedy zrozumiał, że nie ma znaczenia, czy to powie czy nie. Stwór i tak wiedział.

By utrzymać moc tak bardzo pożądaną, Musisz zabić Anastasssię, jego ukochaną.

Smok nadal mrugał, żeby zobaczyć cokolwiek poza jaskrawymi iskrami, ale uśmiechnął się do Anastasii.

— Twoje zaklęcie chyba zadziałało — powiedział.

— Nasze zaklęcie — odparła cicho i obdarzyła go kolejnym uśmiechem. — Było mocne — dodała, i zaraz zapytała: — Zamkniesz ze mną krąg?

Fala niespodziewanej przyjemności sprawiła, że przestał ufać własnemu głosowi, więc tylko pokiwał głową.

— To dobrze, cieszę się. Powinniśmy zamknąć go razem. — Anastasia odchyliła głowę do tyłu. — Dziękuję ci, duchu, że przyłączyłeś się do naszego kręgu — powiedziała, po czym pochyliła się i zdmuchnęła fioletową świecę.

Smok podszedł do zielonej świeczki, odchrząknął, by pozbyć się ucisku w gardle.

— Dziękuję ci, ziemio, że przyłączyłaś się do naszego kręgu — powiedział i zdmuchnął płomień.

Po kolei podziękowali wodzie, ogniovi i powietrzu, a potem młoda profesorka stanęła przed Smokiem, ujęła jego dłonie i powiedziała:

— Dziękuję ci, Bryanie Lankford, że przyłączyłeś się do mojego kręgu.

Właśnie w tamtej chwili Bryan Lankford zdał sobie sprawę, że Anastasia jest nie tyle piękną wampirką i utalentowaną kapłanką, ile najpiękniejszą wampirką i najbardziej niesamowitą kapłanką, jaką kiedykolwiek spotkał. Nie zastanawiając się dłużej, pochylił się i pocałował ją w uśmiechnięte usta.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Pocałunek był tak niespodziewany, że Anastasia zastygła z zaskoczenia. Stała tylko, trzymając go za ręce, a on przyciskał swoje wargi do jej ust.

Gdyby przewidziała, że będzie chciał ją pocałować, na pewno by się odsunęła.

Ale nie przewidziała, więc się nie odsunęła.

I wtedy zdarzyło się coś niezwykłego. Pocałunek Bryana w niczym nie przystawał do tego, czego mogłaby się spodziewać. Powinien być zbyt gwałtowny, niezręczny albo natarczywy. Ale nie. Był słodki i silny, a przy tym na tyle niepewny, że od razu wiedziała, że jego też zaskoczył.

Jednak i tak zamierzała się odsunąć. Powinna się odsunąć. I zrobiłaby to, z pewnością by to zrobiła, gdyby nie pamiętała dorosłego wampira po przemianie, jego łagodnego ufnego spojrzenia, uroczego chłopięcego uśmiechu i pocałunku, który był tak bardzo

podobny do tego — tylko że ten mogła poczuć. „Ukochana...” Nazwał ją ukochaną, a jej serce zareagowało, zanim umysł zdążył się nad tym zastanowić, i dokładnie to samo stało się przed chwilą. Jej ciało zareagowało na dotyk Bryana, zanim umysł nakazał jej położyć temu kres. Więc przysunęła się bliżej i delikatnie, ale całą sobą odwzajemniła pocałunek.

Podczas gdy jej umysł nie pracował, a ciało było zajęte odczuciami, coś okropnie zimnego omiotło jej tył spódnicy i uniosło włosy, sprawiając, że rzeczywistość wkradła się do pocałunku. Zdezorientowana dziwnymi doznaniem już zaczęła się odrywać od Bryana, gdy nagle za plecami wybuchł gwałtowny trzepot skrzydeł.

Dźwięk przeraził ją jak nic dotąd, a w żyłach popłynął jej czysty strach. Podniosła wylękniony wzrok na Bryana.

— Nadchodzi coś strasznego! — jęknęła.

Natychmiast zaszła w nim zmiana. Z łagodnego adepta o rozmarzonym spojrzeniu przerodził się w wojownika — wyciągnął miecz i cały się spiął.

— Zostań tu przy głazie, za mną. — Tym razem nie popchnął jej, tylko poprowadził szybko w bezpieczne miejsce i odwrócił się, by stanąć twarzą w twarz z tym, co czaiło się w mroku.

Anastasia ukucnęła za nim z bijącym sercem i wpatrywała się w szary przedświt. Ogarnięta złymi przeczuciami czekała na atak.

Nic się jednak nie poruszyło.

Żadna koszmarna kreatura się na nich nie rzuciła. Żadni drapieżcy nie spadli na nich z nieba. Nie zdarzyło się zupełnie nic. Otaczała ich wyłącznie łąka oraz odległy zapach rzeki.

Anastasia zauważyła, że barczyste ramiona Bryana rozluźniają się, i już zaczęła się przygotowywać na jego lekceważącą uwagę. Na szczęście kiedy się odwrócił, na jego twarzy dostrzegła wyłącznie czujność i niepokój.

— Wiesz, co to było? — zapytał.

— Nie — odparła, przeczesując włosy drżącą ręką. — Ale daję słowo, że nie udawałam.

— Wiem. Mistrz szermierki nie tylko dobrze radzi sobie w operowaniu mieczem. Potrafi także czytać mowę ciała i oceniać reakcje. Bałaś się. — Wyciągnął rękę, ujął jej dłoń i pomógł wstać. Ich palce jeszcze przez moment pozostały złączone. Uścisnął jej dłoń, puścił ją i sięgnął po stojący na samym środku ołtarza pełny kielich. — Wypij to i zjedz trochę. To ci pomoże. Poza tym powinnaś się odprężyć po tak potężnym zaklęciu.

Anastasia zaczęła saczyć wzmocnione wino i skubać chleb z serem, w tym czasie Bryan rozmontował pospiesznie ołtarz, jednocześnie rozglądając się dookoła.

— Poczujesz to zimno? — zapytała.

— Nie.

— A słyszałeś trzepot skrzydeł?

— Nie. — Popatrzył jej w oczy. — Ale wierzę, że ty czułaś i słyszałaś.

— Niektóre plemiona indiańskie uważają, że ptak to zły omen. Zwłaszcza czarny ptak.

— Wolę wierzyć, że zgodnie z zamiarem Nyks każdy z nas ma swoje własne omeny — odparł, po czym się uśmiechnął i wskazał kępkę dzikich kwiatów rosnących niedaleko oraz cudnie niebieskiego ptaszka z pomarańczową plamą na piersi, który nad nimi trzepotał. — Ten na przykład na pewno nie jest złą wróżbą.

Anastasia znów się uśmiechnęła.

— Nie, to piękny ptak.

— I siada na tych wielkich żółtych kwiatach. To chyba także dobry znak.

— To słoneczniki. Tak się składa, że to moje ulubione kwiaty — powiedziała, patrząc na nie czule.

Smok skrzywił się z jakiegoś powodu.

— To nie chwasty?

Pokręciła głową wyraźnie oburzona jego botaniczną ignorancją.

— Nie. Są wiązane z miłością i namiętnością. Są silne, wspaniałe i płodne, ich nasiona karmią wszystkich, od ptaków po ludzi.

— A więc powiedziałaabyś, że i one stanowią dobry znak.

— Powiedziałabym.

— W takim razie zakończmy to wszystko drugim dobrym znakiem i wracajmy. Jesteśmy tu zbyt widoczni, a poza tym zaraz nadejdzie świt.

Anastasia skinęła głową i nadal sącząc wino, opuściła łąkę wraz z Bryanem Lankfordem. Chłopak niósł w jednej ręce jej kosz, w drugiej swój miecz.

— Dziękuję ci, że mi uwierzyłeś — odezwała się po tym, jak przeszli kawałek w zgodnej ciszy.

— Nie ma za co.

— Nie jesteś taki, jak się spodziewałam — powiedziała, zerkając w jego stronę.

Popatrzył jej w oczy i uśmiechnął się.

— Jestem niższy, prawda?

— Tak, jesteś zdecydowanie niższy. — Anastasia odwzajemniła uśmiech.

— A lubisz niższych? — zapytał Bryan po chwili. Anastasia tylko się uśmiechała.

— Nie sądzę, żebyś mnie nie lubiła.

— Już ci to mówiłam.

— Tak, ale zakłęcie tylko to potwierdziło.

— W jaki sposób?

— Miało odsłonić prawdę o mnie i o wszystkich moich...

— przerwał, zamyślił się, a potem kontynuował: — ...o wszystkich moich aroganckich wybrykach.

Anastasia poczuła falę ciepła na twarzy, więc odwróciła wzrok.

— Więc gdybym naprawdę był taki, arogancki, pyszałkowaty i nieprzejmujący się innymi, poznałabyś prawdę i zapalałabyś do mnie niechęcią.

Wtedy dopiero spojrzała na niego.

— Mylisz się. Ujawnienie prawdy o tobie nie oznacza jeszcze, że od razu zaczyna się pałać do ciebie niechęcią. Nawet jeśli jesteś arogancki i pyszałkowaty.

Bryan się zaśmiał.

— Wydaje mi się, że powiedziałaś coś całkiem miłego, chociaż niezupełnie tak brzmiało.

— A mnie się wydaje, że jesteś lepszy w zaklęciach i obrzędach, niż dajesz po sobie poznać.

— Chyba powinnaś zajrzeć do moich ocen i przekonać się.

— Tak zrobię.

— Być może zaskoczy cię to, co zobaczysz.

— Być może — odparła, patrząc mu w oczy. Słońce zaczęło się już przedzierać ponad urwiskiem

na wschodzie, kiedy Bryan i Anastasia dotarli pod drzwi prowadzące do kwater profesorskich w głównym budynku Domu Nocy. Bryan podał Anastasii kosz.

— Dziękuję — powiedziała. — To... do zobaczenia na zajęciach.

— Nie w tym semestrze. Zaklęcia i obrzędy miałem w ubiegłym półroczu. Ale z pewnością będziemy się widywać.

Anastasia wzięła długi wdech.

— Smoku, jeśli chodzi o ten pocałunek... Uniósł rękę, żeby powstrzymać jej słowa.

— Nie — powiedział szybko. — Nie mów mi, że to był błąd.

— Jesteś adeptem. Ja jestem profesorką.

— Tylko tyle? To jedyny problem, jaki masz ze mną?

— Jest wystarczający — odparła stanowczo.

Ale Smok wcale nie próbował z nią dyskutować. Na jego ustach zakwitł bardzo powoli tryumfalny uśmiech.

— To dobrze, ponieważ to jedynie tymczasowy problem — odparł, po czym ujął jej dłoń, uniósł do ust i pocałował. A potem, nadal się uśmiechając, przyłożył do serca zwiniętą w pięść dłoń i pokłonił się z respektem.

— Bądź pozdrowiona, pożegnana i znów pozdrowiona, profesor Anastasio.

Zanim zdołała zareagować, cmoknął ją w policzek, odwrócił się i odmaszerował, pogwizdując radośnie.

Smok miał rację — zdziwiła się, gdy zajrzała do jego ocen.

— Po prostu idealny uczeń — mruknęła pod nosem, przeglądając jego teczkę. Równie zaskoczona

była tym, jak traktują go inni adepci, zwłaszcza ci, którzy wcześniej zgłosili się do niej po zaklęcie miłosne. Wcale nie przestali go lubić.

Fakt, nikt z nich już za nim nie łąził, nie nadskakiwał mu ani otwarcie z nim nie flirtował. To znaczy nikt z tej piętnastki, która domagała się zaklęcia. Bo inni... owszem.

Anastasia starała się nie zwracać na to uwagi.

Ale i tak zauważyła, że ogólnie rzecz biorąc, Smok cieszy się sporym szacunkiem u adeptów. Był popularny wśród wszystkich, łącznie z gronem profesorskim. On sam pozostawał za to uroczy i arogancki, dowcipny i złośliwy. No i dobry.

Był dobry.

I Anastasia nawet nie mogła udawać, że nic jej to nie obchodzi.

W ciągu kolejnych kilku dni za każdym razem, gdy ich ścieżki się przecinały — co miało miejsce całkiem często — Smok szukał jej wzroku. Jego spojrzenie zatrzymywało się na niej, a jej spojrzenie zatrzymywało się na nim.

Codziennie rano w kryształowym wazonie na biurku znajdowała świeży słonecznik.

Spodziewała się, że cały Dom Nocy będzie komentował spojrzenia wymieniane przez najnowszego mistrza szermierki i najmłodszą profesorkę. Jak się jednak okazało, uwaga wszystkich była skupiona na strasznym człowieku zwanym Jesse'em Biddle'em.

— On nas po prostu podjudza — oznajmiła Diana, kiedy Rada Tower Hill zebrała się w salonie części mieszkalnej dla profesorów.

Anastasia, podenerwowana uczestnictwem w zebraniu, pospiesznie zajęła miejsce i próbowała ukryć zaskoczenie, gdy do pomieszczenia wkroczył Shaw, przywódca szkolnych Synów Ereba, a za nim dwóch najwyższych stopniem wojowników oraz Smok Lankford.

Ich wzrok spotkał się na ułamek sekundy, Smok skinął lekko głową, po czym skłonił się przed najwyższą kapłanką i zasalutował.

— Wszyscy już są — oświadczyła Pandeja. — Możemy oficjalnie rozpocząć zebranie. — To powiedziawszy, zwróciła się do Shawa: — Wyjaśnij nam, proszę, co się wydarzyło wczoraj w nocy.

— Było tuż po północy. Córy Ciemności udały się na Krwawą Wyspę, żeby odprawić rytuał Fautor per Fortuna dla adeptów z szóstego formatowania. Właśnie prosiły Nyks o błogosławieństwo i wstawiennictwo u losu, by wszyscy dostąpili Przemiany, kiedy Biddle wyłonił się nagle z mroku, przewrócił świecę i przerwał krąg. — Shaw pokręcił głową z oburzeniem. — Istoty ludzkie wyparły je z wyspy. Wampirka przyuczająca się do funkcji najwyższej kapłanki stwierdziła, że Biddle zatrzymywał ciężkie lubieżne spojrzenie na każdej z dziewcząt. Tak wyraziście, że nawet po powrocie do swoich pokoi czuły się zbrukane.

— Powiedziała mi, że jej zdaniem to szaleniec — dodała Diana.

— Odwiedziłam dzisiaj Córy Ciemności i wyczułam na nich echo strachu i czegoś mrocznego, ciężkiego — powiedziała Pandeja stanowczym głosem. Następne słowa skierowała do Anastasii: — Okadziłaś je?

— Tak. I praktycznie od razu każda powiedziała, że czuje się lepiej. „Lżej”, takiego słowa użyły — odpowiedziała Anastasia.

Spojrzenie Diany przeszło Shawa na wylot.

— A dlaczego nie było tam żadnego wojownika, który chroniłby nasze młode adeptki?

— Córy Ciemności uznały, że błogosławieństwo będzie ich darem dla chłopców z szóstego formatowania, dlatego nieobecne były osoby płci męskiej, czy to adepci, czy wampiry. Jak wiadomo, Córy Ciemności często przeprowadzają obrzędy same, bez Synów Ciemności — odparł Shaw. Anastasia widziała, że z trudem powstrzymuje frustrację. — To dlatego przyprowadziłem na zebranie Smoka Lankforda. Chciałem przedłożyć wniosek, by od dzisiaj nawet obrzędom odprawianym wyłącznie przez osoby płci żeńskiej towarzyszył adept płci męskiej. Choćby musiał stać poza kręgiem.

— Czy to wystarczająca ochrona? — zapytała Lawinia, profesorka literatury. — Czy nie wojownicy powinni chronić nasze adeptki? Może powinni towarzyszyć im w każdej wyprawie poza Dom Nocy?

Diana prychnęła z oburzeniem.

— Jeżeli chcemy traktować je jak więźniarki. Nasi adepci, a w szczególności adeptki, muszą czuć się wolni i poruszać się swobodnie bez uzbrojonego strażnika.

Pandeja westchnęła.

— Być może należy poprosić Córy Ciemności, by nie odprawiały żadnych obrzędów na Krwawej Wyspie, dopóki ten konflikt z szeryfem nie osłabnie.

— Ta wyspa należy do nas! — Diana uderzyła pięścią w stół. — Nawet nazwę zawdzięcza naszym rytuałom! Nie możemy pozwolić, by apodyktyczna istota ludzka naruszała prawa naszych adeptów.

— St. Louis to już nie jest osada barbarzyńców. — Pandeja nie zwlekała z odpowiedzią. — W ciągu ostatnich kilku lat populacja wzrosła dwukrotnie. Miejscowość przekształciła się z nijakiej nadrzecznej faktorii w kwitnące duże miasto.

— Kiedy St. Louis stanowiło prymitywny nieucywilizowany zarodek miasta, Tower Grove było miejscem spokojnym i pięknym — rzekła Diana.

— Oczywiście, że tak było. My, wampiry, zawsze tworzymy piękno tam, gdzie przebywamy. Jednakże czasy się zmieniły, nie możemy sobie pozwolić na alienację wśród otaczających nas ludzi, nawet jeżeli oznacza to, że Córy Ciemności będą przeprowadzały obrzędy tutaj, na rozległych terenach Tower Grove i prerii, którą nazywamy domem, a nie na piaszczystej wysepce z widokiem na przystań. Przykro mi to mówić,

ale przewiduję, że nadejdą czasy, kiedy będziemy musieli ukrywać naszą tożsamość przed populacją ludzką. Trudno to sobie wyobrazić, ale to i tak niewielka cena za spokój dla naszych adeptów.

— Ludzie nigdy nie zostawią nas w spokoju. Oni nas nienawidzą! — warknęła Diana.

— Nie wszyscy — zaoponowała Pandeja. — Wielu nam zazdrości i boi się nas, ale są też ludzie, którzy nas szanują. Dobrze wiesz, że nie brakuje istot ludzkich gotowych dzielić się z nami swoją krwią. Nawet w tym zebraniu rady uczestniczy kilkoro wampirów, którzy mają człowieka za partnera. I to wszystko mimo ogólnego trendu panującego wśród ludzi, by udawać brak zainteresowania kontaktami z wampirami.

— Obawiam się, najwyższa kapłanko, że ten trend to coś więcej niż tylko zwykły brak zainteresowania — odezwał się Shaw. — Przy odrobinie zachęty ze strony Biddle'a ludzie zaczną myśleć, że mogą z nami walczyć.

— Nie wystąpią przeciw naszym wojownikom. — Pandeja była wyraźnie zdenerwowana obrotem, jaki przybrała dyskusja.

— W takim razie wyślijmy wojowników do miasta, niech nauczą Biddle'a, że nie może napastować naszych adeptek! — zawołała Diana.

Anastasia nie była w stanie dłużej zachowywać milczenia.

— Czy Najwyższa Rada nie zabroniła otwarcie wojownikom podejmowania żadnych działań przeciwko ludziom, chyba że w obronie?

Diana prychnęła.

— Tę zasadę wprowadziła rada z Wenecji, z miejsca, gdzie pożądanie człowieka przez wampira jest uważane za wytworność. Oni nie rozumieją, co się dzieje tutaj, w nieucywilizowanej Ameryce.

— Dość tego! — W głosie Pandei zaszła kompletna zmiana, a moc płynąca z jej rozkazu przyprawiła Anastasię o gęsią skórkę. — Diano, to były niewłaściwe słowa. Mój Dom Nocy nie będzie się przeciwstawiał Najwyższej Radzie. I żadna omylna istota ludzka nie obróci miasta przeciwko nam wszystkim. Nie zapominajmy, że każdy z nas też kiedyś był człowiekiem.

Diana pochyliła głowę.

— Wybacz mi. Nie chciałam okazać braku szacunku. Ale to nie do pomyślenia, żeby nasi adepci bali się wyjść poza teren szkoły inaczej niż w przebraniu albo w towarzystwie wojownika.

— Właśnie dlatego zgodziłam się, by Shaw przyprowadził na zebranie rady naszego najnowszego mistrza szermierki — odparła Pandeja. — Smoku, chciałabym, żebyś razem ze wszystkimi chłopcami z szóstego formatowania wykazującymi zdolności wojownicze dopilnował, by panie nie opuszczały terenu Domu Nocy bez towarzystwa co najmniej jednego z was na grupę.

— Oczywiście, najwyższa kapłanko — odparł Smok, przykładając pięść do serca i skłaniając głowę przed Pandeją.

— Zdaję sobie sprawę, że nie jest to rozwiązanie idealne, ale przynajmniej dzięki temu dziewczęta nie będą tak łatwo zastraszane przez Biddle'a, który jako typowa osoba terroryzująca słabszych, zapewne straci zainteresowanie dręczeniem, kiedy cel okaże się silniejszy niż kilka młodych dziewcząt uzbrojonych jedynie w świeczki i zioła. Tak więc nasze adeptki będą chronione, a jednocześnie będą mogły cieszyć się wolnością i poruszać swobodnie bez asysty dorosłego strażnika — oznajmiła Pandeja, po czym spojrzała na pozostałych członków rady. — Zamierzam wystosować pismo do Wenecji. Najwyższa Rada powinna się dowiedzieć, co się tutaj dzieje — dodała i zaraz powiedziała coś, co zupełnie zaskoczyło Anastasię: — Profesor Anastasio, jesteśmy pod wrażeniem mocy twojego zaklęcia. Chciałabym cię prosić, żebyś odprawiła obrzęd dla Domu Nocy. Ochronny.

Anastasia się zawahała. Już miała się zgodzić na sugestię Pandei, kiedy usłyszała w głębi duszy głos swojej dawnej mentorki: *Postępuj tak, jak ci nakazuje intuicja, zawsze ufaj sobie.* Wyprostowała więc ramiona i powiedziała to, co uważała za słuszne:

— Najwyższa kapłanko, z całym szacunkiem chciałabym zaproponować obrzęd innego rodzaju.

— Inny niż ochronny? Dlaczego?

Anastasia wzięła głęboki wdech i idąc za głosem intuicji, wyjaśniła:

— Obrzęd ochronny jest w swojej istocie skupiony na przemocy. Gdyby niepotrzebna była ochrona przed agresją, nie trzeba by odprawiać takiego obrzędu.

— Czy to stwarza jakiś problem? — zapytała Pandeja.

— Zwykle nie — odparła Anastasia. — Ale zastanawiam się, czy w tym przypadku samo odprawienie obrzędu nie byłoby czymś w rodzaju szturchnięcia czy trącenia tego Biddle'a.

— Powiedziałabym, że szturchnięcie i trącenie szeryfa to doskonały pomysł — zauważyła Diana, a kilkoro członków rady pokiwało głową na znak zgody.

— Niezupełnie, jeśli chcemy, by nas zostawił w spokoju, a w ten sposób nie damy mu o sobie zapomnieć. W innej sytuacji, w obecności Smoka i przyszłych wojowników, Biddle mógłby, tak jak stwierdziła najwyższa kapłanka, stracić całe zainteresowanie nami.

— Słuszna uwaga — rzekła Pandeja. — Co w takim razie proponujesz?

— Obrzęd pokoju. Ale nie odprawiałabym go na naszej ziemi, bo chociaż ostatnie działania szeryfa wzbudziły nasz gniew, mamy pokojowe zamiary. Ten obrzęd potrzebny jest jemu, zadziała najlepiej, jeśli znajdę się jak najbliżej miejsca będącego schronieniem Biddle'a.

— Więzienie obok terenów zielonych miasta. To jego azyl — podpowiedział Shaw.

— W takim razie powinnam odprawić obrzęd w pobliżu więzienia. Dodatkową korzyścią będzie ogólny efekt uspokajający w mieście, co powinno ukoić ludzkie nerwy podrażnione przez Biddle'a.

— Muszę się zgodzić z profesorem Anastasią. Odpraw obrzęd, tylko koniecznie udaj się na miejsce pod eskortą jednego z Synów Ereba.

— To będzie dla mnie zaszczyt, profesor Anastasio. — Shaw pochylił głowę w ukłonie.

— Nie chciałabym cię urazić, jednak nie mogę odprawić obrzędu pokoju w obecności wojownika. Twoja obecność klóciłaby się z jego istotą.

— Ale niebezpiecznie jest podchodzić samotnie tak blisko kryjówki Biddle'a — odezwała się Pandeja.

— Czy tylko obecność wojownika, wampira po Przemianie, zaburzy obrzęd? — zapytała Diana.

— Tak.

Diana się uśmiechnęła.

— W takim razie pošlemy z tobą kogoś innego. Smoka Lankforda. Nie przeszedł jeszcze Przemiany, więc nie wojownik będzie cię chronił. Za to będziesz miała opiekę samego mistrza szermierki.

— Czy to rozwiąże problem twojej ochrony? — zapytała Pandeja.

Anastasia musiała odchrząknąć, żeby pozbyć się ucisku w gardle.

— Tak — odparła.

Najwyższa kapłanka odwróciła się do mistrza szermierki.

— Co powiesz na to, Smoku?

Uśmiechnął się, przyłożył pięść do serca i pokłonił się Anastasii.

— Powiem, że jestem do dyspozycji profesor Anastasii.

— Wspaniale! Anastasio, odpraw ten obrzęd jeszcze dzisiaj. St. Louis potrzebuje spokoju, i to jak najszybciej — stwierdziła Pandeja. — Tym samym kończymy dzisiejsze zebranie. Bądźcie wszyscy pozdrowieni.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

— Krzywisz się, odkąd opuściliśmy Dom Nocy — powiedział Bryan i cmoknął na parę siwków, które ciągnęły powóz. — Hej, spokojnie! — rzucił do koni i zerknął ukradkiem na Anastasię. — Widzisz? Nawet konie to wyczuwają.

— Nie krzywię się, tylko koncentruję — odparła Anastasia, krzywiąc się. — Ale masz rację, konie są nerwowe.

— Mam rację także w wielu innych kwestiach, nie tylko co do zachowania koni — powiedział z uśmiechem.

Anastasia odwróciła się tak, by spojrzeć mu prosto w oczy.

— Czy ktoś kiedyś wyjaśnił ci może różnicę pomiędzy pewnością siebie a arogancją?

— Jeśli powiem, że nie, ty mi wyjaśnisz? Zawahała się na moment.

— Nie — odparta. — Nie sędzę.

Przez chwilę jechali w milczeniu, po czym Smok westchnął.

— No dobrze, udziel mi lekcji. Lubię to. Naprawdę" Anastasia otworzyła usta, by powiedzieć, że zupełnie jej nie interesuje, co on lubi, a czego nie, lecz nie zdążyła się odezwać, bo Smok mówił dalej:

— Prawdę powiedziawszy, z twoich ust wysłucham wszystkiego. Masz śliczny głos — dodał i spojrzał jej przelotnie w oczy. — Jest prawie tak śliczny jak ty.

Kiedy to mówił, wydał jej się taki młody i niemądry, jednak gdy spojrzała mu w oczy, dostrzegła w nich głęboką dobroć, która sprawiła, że aż pokraśniały jej policzki.

— No cóż, dziękuję. I dziękuję za słoneczniki. Rozumiem, że to ty je dla mnie zostawiałeś — dodała, odwracając wzrok.

— Ja, ale nie ma za co. Podobały ci się? Naprawdę?

— Naprawdę — odparła, nadal nie patrząc na Smoka. Zła na własną reakcję, próbowała dojść do tego, czy to Smok ma na nią taki wpływ, czy jego starsza wersja, o której nie była w stanie przestać myśleć.

Nastąpiło długie milczenie, które w końcu przerwał Smok.

— Wcale mnie nie nienawidzą — wyrzucił z siebie.

— Kto? — Anastasia uniosła brwi.

— Te trzynaście dziewcząt i dwóch chłopców.

— Ach, oni. A skąd wiesz? Nie powiedziałam ci ich imion.

— Nieważne — uśmiechnął się. — Nikt nie zaczął mnie nienawidzić. Wiesz, co to oznacza?

— Ze moje zaklęcie nie zadziałało? — zapytała, dodając uśmiech, by wiedział, że to żart.

Smok się zaśmiał.

— Wiesz, że zadziałało. To oznacza, że nie jestem aż taki zły.

— Nigdy nie twierdziłam, że jesteś.

— Nie. Powiedziałaś, że jestem aroganckim wybrykaniem.

— Nie sądzę, by istniało słowo wybrykament.

— Właśnie je wymyśliłem. Jestem dobry w wymyślaniu słów.

Anastasia przewróciła oczami.

— I znów się przechwała — mruknęła. Smok zaśmiał się ponownie.

— Zajrzałaś do moich ocen, prawda?

— Być może.

— Zajrzałaś. I przekonałaś się, że jestem prawie tak samo zdolny w nauce jak w szermierce.

— Ta arogancja... — westchnęła głęboko i odwróciła głowę, by nie dojrzał jej uśmiechu.

— Jak prawda może być arogancka?

— Arogancja, bo się przechwalasz, czy to prawda, czy nie.

— Czasami wampir musi się trochę popprzechwalać, żeby kapłanka go zauważyła.

Anastasia parsknęła cicho, ale nadal nie odważyła się spojrzeć mu w oczy.

— Nie jesteś wampirem.

— Jeszcze nie.

— I mnóstwo dziewcząt cię zauważa.

— Ja nie chcę mnóstwa dziewczyn — odpowiedział. Z jego głosu zniknęła dawna kpina. — Chcę ciebie.

Teraz dopiero na niego spojrzała. W brązowych oczach dostrzegła uczciwość i niezłomność. Tym razem nie związała sobie włosów z tyłu — okalały mu twarz, przez co mocno zarysowana szczeka wydawała się jeszcze bardziej wyrazista. Miał na sobie proste czarne spodnie bez ozdób i taką samą koszulę. Anastasia wiedziała, że dzięki temu kolorowi ma się wtopić w otaczającą ich ciemność, lecz wyglądał w tym stroju na starszego, silniejszego i tak samo tajemniczego jak bezkresna noc.

— Powiedz coś — odezwał się.

Spojrzenie Anastasii wróciło z szerokiej klatki piersiowej chłopaka na jego twarz.

— Nie wiem... nie wiem, co powiedzieć.

— Możesz mi powiedzieć, że mam u ciebie szansę.

— To ma być podbój? Coś, co chcesz zdobyć jak tytuł mistrza szermierki?

Smok zatrzymał powóz i odwrócił się, by spojrzeć na Anastasię.

— To kompletna bzdura! Dlaczego powiedziałaś coś takiego?

— Lubisz rywalizować. Masz cechy drapieżnika. Ścigasz. Łapiesz. Zdobywasz. Jestem zapewne jedyną kobietą od długiego czasu, która nie padła ci do stóp z uwielbieniem. Pragniesz mnie, bo to dla ciebie wyzwanie.

— Pragnę cię, bo jesteś piękna i mądra, piękna i utalentowana, piękna i życzliwa. A przynajmniej sądziłem, że jesteś życzliwa. — Smok wypuścił z płuc długi nerwowy oddech. — Anastasio, ten obrzęd, który odprawiliśmy, miał ujawnić prawdę o mnie. Tak, przyznaję, jestem arogancki — powiedział, wzruszając ramionami. — Wydaje mi się, że odrobina arogancji idzie w parze z moimi umiejętnościami. Chciałbym jednak, abyś zrozumiała, że w moim pragnieniu ciebie nie ma nic, co wiązałoby się z podbojem albo cechami drapieżnika.

Popatrzył na nią, a wtedy w jego brązowych oczach dostrzegła nie złość, ale ból. Powoli wyciągnęła rękę i dotknęła jego ramienia.

— Masz rację. Nie zasługujesz na takie traktowanie z mojej strony. Przepraszam cię, Bryanie. — Westchnęła i pokręciła głową. — To znaczy Smoku — poprawiła się. — Ja po prostu sama nie wiem, co do ciebie czuję.

— Możesz nazywać mnie Bryan — odparł, kładąc rękę na jej dłoni. — Lubię, kiedy wypowiadasz moje imię.

— Bryan — powiedziała cicho i poczuła, że Smok drży pod jej dotykiem. — Nie spodziewałam się kogoś takiego jak ty w moim życiu.

— Ponieważ jestem mistrzem szermierki i wkrótce zostanę wojownikiem?

Pokiwała głową w milczeniu.

— Dlaczego to dla ciebie problem?

— Pomyślisz, że to głupie — odparła.

Zdjął jej rękę ze swojego ramienia i splótł palce z jej palcami.

— Nie pomyślę, obiecuję. Powiedz.

— Zostałam wychowana jako kwakierka. Wiesz, co to oznacza?

— Niezupełnie, chociaż słyszałem o kwakrach. Czy nie są fanatykami religijnymi?

— Niektórzy tak. Moja rodzina nie była tak zła jak reszta naszej społeczności. Oni... mnie kochali — powiedziała z wahaniem, przypominając sobie dawne życie. — Chociaż społeczność zmusiła ich do tego, by mnie odrzucili po Naznaczeniu i potem, po Przemianie. Nadal jednak dostaję listy od matki, wysyła je w tajemnicy przed innymi. Wciąż mnie kocha i wiem, że i ja zawsze będę ją kochać.

— Nie ma w tym nic głupiego. To raczej lojalne, wierne i dobre.

Anastasia się uśmiechnęła.

— Bo jeszcze nie doszłam do sedna. Głupie jest

to, że mam w sobie jeszcze sporo z kwakierki, i to się chyba nigdy nie zmieni.

— Chcesz powiedzieć, że nie czcisz Nyks?

— Nie, skąd. Nyks jest moją boginią. Odkąd sięgam pamięcią, byłam szczególnie związana z ziemią, zupełnie inaczej niż moja rodzina. Chyba właśnie w taki sposób znalazłam drogę do Nyks. Przez miłość do ziemi. — Anastasia odgarnęła włosy z twarzy i mówiła dalej: — Próbuję właśnie powiedzieć, że jako człowiek byłam pacyfistką. Nadal jestem i chyba zawsze będę.

Smok zamrugał ze zdziwienia, ale nie wypuścił jej ręki.

— Nie zmienię tego, że jestem mistrzem szermierki. A nawet gdybym mógł, i tak bym tego nie zrobił.

— Wiem! Ja wcale nie...

— Zaczekaj. Pozwól mi dokończyć. Moim zdaniem to wcale nie takie złe, że ja jestem mistrzem szermierki, a ty pacyfistką.

— Nawet jeśli twierdzę, że miłosierdzie jest silniejsze od twojego miecza?

— Tak samo silniejsza jest miłość. Nienawiść. Mnóstwo innych emocji.

— Bryan, ja nie lubię przemocy.

— A myślisz, że ja lubię? — Smok potrząsnął głową i sam sobie odpowiedział, zanim Anastasia zdążyła się odezwać: — Nie lubię! Właśnie dlatego

po raz pierwszy chwyciłem za miecz. Bo nie lubię przemocy. — Zwiesił ramiona i dalej mówił z taką bezbrzeżną szczerością, że aż ciężko było tego słuchać. — Jestem niski. Byłem bardzo niski, w zasadzie zupełnie mały. Tak mały, że wszyscy mnie zaczepiali. Stałem się pośmiewiskiem. Byłem „środkowym synem hrabiego, maleńkim, delikatnym i jaśnowłosym jak panienka”. — Smok przełknął ciężko ślinę. — Nie lubiłem się bić i nie chciałem tego robić. Ale to nie miało znaczenia. Przemoc przychodziła do mnie, czy tego chciałem, czy nie. Gdybym poddał się, ustąpił im, złamaliby mnie, skrzywdzili, wykorzystali. Bo widzisz, mojego ojca nie lubiano, a jego najmłodszego syna uważano za najśłabsze ogniwo. — Smok przerwał, a Anastasia zrozumiała, że ciężko mu opowiadać o tym aspekcie przeszłości, ciężko mu wracać do tamtych chwil. — Ale nie złamali mnie, zamiast tego rośłem w siłę. Nauczyłem się używać miecza i powstrzymywać przemoc skierowaną przeciw mnie. Tak, byłem w tym dobry. Owszem, stałem się arogancki i pewnie używałem miecza, kiedy nie musiałem, zwłaszcza przed Naznaczeniem. Prawda jest taka, że wolę kłaść kres przemocy, niż ją wywoływać. — Jego ręka od miecza pokryta była odciskami i wydawała się taka twarda w kontakcie z jej gładką dłonią. Anastasia czuła ten szorstki dotyk w całym swoim ciele. — Wojownik to obrońca, a nie drapieżnik.

— Żyjesz przemocą — odparła Anastasia, chociaż nawet w jej własnych uszach zabrzmiało to słabo. — Kiedy walczysz, stajesz się zupełnie inną osobą. Sam to powiedziałaś, a inni potwierdzili. Nawet zyskałeś odpowiedni przydomek.

— Jestem Smokiem tylko wtedy, kiedy muszę, i zawsze będę bronił swoich. Spróbuj w to uwierzyć. Spróbuj uwierzyć we mnie. Daj nam szansę, Anastasio.

Aż dreszcz przeszedł jej po plecach, gdy rozpoznała te słowa. To samo powiedział do niej starszy odpowiednik Bryana, wampir wojownik, którego mogłaby pokochać — który nazwał ją „ukochaną”.

— Dam nam szansę — odpowiedziała powoli. — Jeśli obiecasz pamiętać, że miłosierdzie jest silniejsze od miecza.

— Obiecuję.

Wtedy Anastasia ku własnemu zdumieniu pochyliła się i pocałowała go w usta. Kiedy odsunęli się od siebie, przez długą chwilę patrzyli sobie w oczy.

— Czy po odprawieniu obrzędu przespacerujesz się ze mną wzdłuż rzeki do łąki? — zapytał Bryan.

— Jeśli będziesz mnie chronił — odparła cicho.

— Zawsze będę chronił moją ukochaną — obiecał. Uśmiechnął się, chwycił ją pod rękę i cmoknął na konie, żeby ruszały dalej.

Nadal trzymał ją pod rękę, kiedy szli wyłożoną brukiem groblą. Anastasia zwykle przyglądała się statkom parowym, które na tym fragmencie rzeki stały w długim sznurze, zastanawiając się — co zdarzało jej się także w odniesieniu do niektórych luksusów w Domu Nocy — czy kiedykolwiek przyzwyczai się do majestatu parostatków. Stanowiły tak ogromny kontrast z miastem, które o tej późnej porze było już ciemne i uśpione! Parowce wyglądały jak pływające pałace, nadal toczyło się na nich życie, świeciły wesoło kandelabry, a nad wodą niczym magiczna muzyka niosły się głosy tańczących dziewcząt i mężczyzn grających w karty. Zazwyczaj starała się zerkać w przedzielone szprosami okna.

Jednak tej nocy ledwo na nie patrzyła. Tej nocy jej uwaga była skupiona na czymś innym, chociaż Anastasia wcale nie powtarzała sobie w myślach zaklęcia. Zaklęcie pokoju było jednym z najprostszych, wymagało użycia zaledwie dwóch składników — uspokajającej lawendy, którą należało zmieszać w filiżance z jej ulubionym ajonitem, kamieniem o turkusowym zabarwieniu kryształowej głębi, przynoszącym pokój i pełną miłości czystą energię. Wykonanie też było łatwe: należało zmieszać lawendę z ajonitem i palić nad świecą ziemi, wypowiadając odwieczne słowa pokoju. Proste, szybkie i skuteczne.

Dlaczego więc była taka niespokojna?

W oddali, ponad dochodzącymi z parostatków dźwiękami zabawy, Anastasia usłyszała wyraźny głos kruka. Zadrzała.

— Zimno ci? — Bryan przyciągnął ją do siebie. — Jesteś pewna, że nie mam ponieść twojego kosza? Już to wcześniej robiłem — dodał z uśmiechem.

— Nic mi nie jest. I muszę sama nieść kosz, dopóki nie odprawię obrzędu. Kosz powinien przesiąknąć moją energią. — Uśmiechnęła się. — Możesz go ponieść w drodze powrotnej.

— Chętnie — odparł.

Szli dalej, ale chwilę później Anastasia nagle przystanęła, zatrzymując też Bryana.

— Nie, to nie do końca prawda — powiedziała. — Skoro jesteś moim obrońcą, powinnam być z tobą szczerą. Coś jest nie tak. Czuję niepokój. I strach.

Przykrył jej dłoń swoją.

— Nie bój się. Obiecuję, że żaden szeryf terrorysta nie ma ze mną szans — rzekł i spojrzał jej prosto w oczy. — Już dawno nikt mi się nie postawił.

— Przemawia przez ciebie pewność siebie czy buta?

— I jedno, i drugie. — Uśmiechnął się. — Chodź, zrobmy, co mamy zrobić, a potem będziemy mieli czas na lepsze rzeczy. — Pokazał palcem na niewielki teren zielony rozciągający się przed nimi na lewo. — Więzienie to ten kwadratowy kamienny budynek po drugiej stronie parku.

— Dobrze. W takim razie do roboty. Anastasia popędziła do przodu, ignorując mroczne

przeczcucie, które kładło się cieniem na jej myślach od czasu zebrania rady. To tylko nerwy, próbowała przekonać samą siebie. Mój Dom Nocy liczy na mnie, a do tego jestem adorowana przez uroczonego adepta. Muszę się skupić, nawiązać kontakt z ziemią. Muszę zrobić to, co trzeba.

— Co mam zrobić? — zapytał Bryan, kiedy przeszli przez skwer i znaleźli się pod posępnym kamiennym gmaszyskiem.

— Prawdę powiedziawszy, im mniej zrobisz, tym lepiej. — Spojrzał na nią pytająco, więc wyjaśniła: — Bryan, wiem, że przyszedłeś tu jako mój obrońca, jednak to nie zmienia faktu, że jesteś szermierzem. Reprezentujesz zupełne przeciwieństwo zaklęcia pokoju.

— Ale ja... — zaczął, lecz nie pozwoliła mu dokończyć.

— Och, wiem, że masz dobre intencje, ale to nie zmienia kwintesencji ciebie. Otacza cię aura wojownika.

Uśmiechnął się radośnie. Anastasia się skrzywiła.

— To wcale nie miał być komplement — powiedziała, ignorując jego uśmiech, po czym zaczęła przyglądać się badawczo kamiennej budowli i jednocześnie analizować na głos wszystkie etapy obrzędu.

— Ułożę świece i utworzę krąg wokół samego więzienia. Budynek stoi frontem do rzeki, a więc na wschód. To dobrze. Zwykle spalam lawendę nad świecą ziemi, ponieważ z ziemią jestem najbardziej związana, lecz chciałabym, żeby to zaklęcie rozprzestrzeniło się po całym mieście, więc postanowiłam użyć świecy powietrza. Podoba mi się, że drzwi wychodzą na wschód, to dobry znak

— dodała pogodnie, próbując zbagatelizować dręczący ją niepokój, który nie opuszczał jej ani na chwilę.

— Brzmi nieźle. Logicznie — Bryan skinął głową.

— Czyli pójdę z tobą, ale zostanę poza kręgiem.

— Nie. — Anastasia już zaczęła grzebać w koszu, sprawdzając, czy bardzo kolorowe świeczuszki, które ze sobą wzięta, nie zniszczyły się po drodze. — Zostań w parku.

— Wtedy nie będę cię widział, kiedy przejdiesz na tył albo na bok budynku.

— Owszem, za to będziesz mnie słyszał — odparła z roztargnieniem, już łącząc się z ziemią, skupiając na obrzędzie.

— Nie podoba mi się, że stracę się z oczu.

— Bryan, to obrzęd pokoju — odpowiedziała, patrząc na niego. — Od momentu, w którym zacznę

rozkruszać lawendę, będzie emanował ze mnie spokój. Wiem, że twoim zadaniem jest wyglądanie kłopotów, i cieszę się, że tu jesteś, ale prawdę mówiąc, niezmiernie rzadko, praktycznie nigdy się nie zdarza, żeby kapłanka została zaatakowana podczas odprawiania obrzędu takiego jak ten. — Anastasia wiedziała, że to prawda, lecz słowa brzmiały dziwnie, niewłaściwie, jakby jakaś zewnętrzna siła ważyła je i uznawała za niewystarczające. Potrząsnęła głową bardziej do siebie niż do Bryana. — Nie, nie możesz towarzyszyć mi, gdy będę odprawiać obrzęd.

— W porządku, rozumiem. Nie podoba mi się, ale zostanę tutaj. — Bryan wskazał na zacienione miejsce na skraju parku, z dala od kiepskiego oświetlenia gazowej latarni przed wejściem do więzienia. — Zdajesz sobie sprawę, że wokół budynku jest praktycznie ciemno?

Anastasia uniosła brwi.

— Bryan, ja jestem wampirką. Potrzeba mi niewiele światła, więc dobrze, że jest ciemno. Dzięki temu zakłęcie będzie niewidoczne dla ludzi.

— Ja nie chciałem... chciałem tylko... — zaczął dwukrotnie, ale ostatecznie westchnął jedynie i poszedł w miejsce, które wcześniej pokazał. — Tu zostanę. Będę czekał na ciebie.

— Dobrze — odparła. — To nie powinno potrwać długo, chociaż zdarza się, że obrzęd mnie całkowicie pochłania. — Anastasia celowo przeszła obok Bryana i poklepała go z roztargnieniem po rękę.

— Wiem — mruknął, po czym dodał za nią: — Nie zauważyłabyś nawet nacierającego niedźwiedzia.

— On wcale nie nacierał — odpowiedziała ze śmiechem.

Poprawił jej nieco nastrój, więc imię Nyks wyszeptała z uśmiechem na ustach, czując się pewniejsza siebie i spokojniejsza. Umieściła pierwszą świecę — żółtą, symbolizującą powietrze — na wschodzie i przywołała żywioł do kręgu. Koncentrując się całkowicie na rytuale, włożyła rękę do aksamitnego woreczka z solą i poruszając się wokół więzienia zgodnie z ruchem wskazówek zegara, zapraszała do kręgu poszczególne żywioły, wysypując solą nieprzerwaną linię na zdeptanej ziemi.

Niech zwiążą to zakłęcie kryształki soli By czyste intencje i spokój wyzwolić.

Odsunęła na bok złe przeczucia i okrążyła budynek owładnięta spokojnymi, pogodnymi, szczęśliwymi myślami. Chociaż postanowiła rozpocząć od świecy powietrza, stopniowo wyobrażała sobie, jak sięga głęboko pod znajdującą się pod jej nogami glebę i wyciąga bogatą magię ziemi, by pomogła jej przeprowadzić obrzęd i wzmocnić zakłęcie.

Jak zawsze od dnia, gdy jeszcze jako adeptka wygłosiła swoje pierwsze zakłęcie, żywioł od razu jej

odpowiedział. Pod budynkiem więzienia obudziła się potężna magia ziemi i popłynęła w jej stronę.

Stworzenie ciemności, które kulilo się w piwnicy, poczuło pęd ziemi odpowiadającej na łagodną prośbę młodej kapłanki i od razu wiedziało, że nadeszła pora, by wypełnić wolę pana. Zaczęło szeptać zupełnie inne wersy.

Kroczący w tę i we w tę przed srebrną klatką człowiek przystanął, żeby posłuchać.

By zimny ogień mógł się rozwinąć, Wampirka Anastasia musi zginąć.

— Tak! Tak! Wiem! — warknął Biddle w stronę kreatury. Głowa mu drgała w sposób niekontrolowany i cały czas skubał sobie koszulę, jak gdyby chciał się pozbyć wyimaginowanych owadów, które obsiadły mu skórę. — Ale nie zrobię jej nic, póki siedzi w tym gnieździe wampirów.

Dzisiejszej nocy czuję ją Misko. Zabij ją u góry, sprowadź ją tu nisko.

— Znaczy, że jest na zewnątrz? Sama? — Biddle nawet nie zauważył, że głos stworzenia się zmienił, że zniknęło przeciągłe syczenie ledwo przypominające ludzką mowę, a zamiast tego pojawił się głęboki melodyjny zaśpiew, zbyt uwodzicielski, by mógł pochodzić od istoty ludzkiej.

Smok Lankford ją chroni, lecz Zimny ogień pokona jego miecz.

Znajdujące się w głębi klatki mroczne stworzenie otworzyło szeroko paskudny dziób i wydało z siebie ohydne dźwięki wymiotów, a wtedy z czeluści wnętrza wypełzły klejące macki ciemności i powędrowały w stronę Biddle'a, który ochoczo wyszedł im na spotkanie. Zupełnie jakby witał kochankę, jęknął z rozkoszy, gdy ciemność oplótła jego nogi i przesączyła się pod skórę, napełniając go poczuciem siły równie uzależniającym, jak niszczącym.

Napęczniały od użyczonej mocy Biddle wyjął długi nóż, który nosił przy sobie od czasu schwytania tego stworzenia — odkąd zaczął pić je krwią.

Możesz spodziewać się większej mocy, Gdy krew wampirki nasyci mnie tej nocy.

— O tak! Więcej mocy i już na zawsze pozbędę się tych przeklętych wampirów! Jeśli będzie trzeba, sprzątnę ich pojedynczo, jednego po drugim. Zacznę już dzisiaj od tego aroganckiego sukinsyna! — Biddle ruszył do góry po wąskich schodach. Zamknięta w klatce kreatura znowu się odezwała:

Chłopak to marna kukielka, nie zaprzataj nim głowy! Nie bacz na niego, na Anastasię urządz sobie łowy!

Biddle skubał koszulę, śmiejąc się pod nosem i zupełnie nie zwracając uwagi na kreaturę i jej słowa.

— Wysyłam do ciebie głęboki pokój delikatnej bryzy...

Zakłęcie Anastasii popłynęło wraz z nocnym powietrzem w kierunku Smoka. Widział jej sylwetkę majaczącą przed budynkiem więzienia, tuż za krawędzią poświaty rzucanej przez migoczącą latarnię gazową.

Wypowiadała słowa równie melodyjnie jak wcześniej zakłęcie podczas obrzędu przyciągania.

— Wysyłam do ciebie głęboki pokój najcieplejszego ognia...

Smok uznał, że głos Anastasii to najcudowniejszy dźwięk, jaki kiedykolwiek słyszał. Działał na niego kojąco, wszystko na tym świecie wydawało mu się teraz takie właściwe.

— Wysyłam do ciebie głęboki pokój kryształowych mórz...

Dręczyło go, że Anastasii niespecjalnie się podoba, iż zostanie wojownikiem, ale kiedy odprawiała obrzęd, wymawiając słowa zaklęcia i krusząc do płomienia mieszankę lawendy i ajonitu, zdał sobie sprawę, że nie ma się czym przejmować.

— Wysyłam do ciebie głęboki pokój odwiecznej i nieskończonej ziemi...

Łatwo pójdzie mu przekonanie Anastasii, że nie lubuje się w przemocy. Nie był już taki jak kiedyś. Wydoroślał. Zmądrzał. Używał miecza tylko wtedy, gdy było to konieczne — a raczej starał się tak robić. Zresztą sama się przekona.

— Wysyłam do ciebie głęboki pokój świecącego księżyca...

Anastasia zrozumie. Westchnął powoli i oparł się wygodniej o pień wielkiego dębu. Patrzył w niebo i myślał, że pozostawianie codziennie słonecznika dla Anastasii było mądrym posunięciem — wtem sytuacja

uległa zmianie. Jeszcze przed chwilą stał sobie spokojny i zadowolony, a teraz nagle pojawił się przed nim Biddle.

Smok zamarł ze zdumienia i tylko wpatrywał się w szeryfa. Odkąd widział go po raz ostatni kilka dni wcześniej, Biddle przeszedł zatrważającą przemianę. Miał wychudłą twarz, zapadnięte policzki i ciemne worki pod oczami. Co chwilę wstrząsał nim nerwowy tik. I to coś miało przerwać rytuał Cór Ciemności i wypędzić je z wyspy? Smok był pewien, że mógłby jedną ręką skrócić kark temu człowiekowi. Biddle był tylko żalosną ludzką skorupą.

— Szeryfie — odezwał się Smok, starając się ukryć obrzydzenie. — Czy mogę coś dla pana zrobić?

— Taaa. Możesz umrzeć.

Po raz pierwszy w życiu Bryan Smok Lankford spoglądał w twarz prawdziwemu złu.

Instynktownie sięgnął po miecz, ale było już za późno. Biddle uderzył z absolutnie nieludzką siłą i prędkością — chwycił Smoka za gardło i cisnął nim o twardy pień dębu tak mocno, że chłopak stracił dech. Wolną ręką wytrącił mu miecz z osłabionej dłoni.

— Ty buńczuczny bufonie! — prychnął w twarz Smokowi.

— Nie!... — Smok dławił się, próbując złapać oddech. W słowach i czynach szeryfa było coś niepokojąco znajomego, coś, co wstrząsnęło nim do głębi.

Bryan jakby znów znalazł się w stajni, jak cztery lata wcześniej, znów stracił dom, rodzinę i prawa syna.

— I wiesz co? — Biddle przycisnął mu twarz do ucha. — Nie zabiję jej tutaj i nie zaniosę na dół. Nie, zrobię tak, jak ja chcę. Zabiorę ja na dół i tam zgładzę, ale najpierw zabawię się dupcią tej ślicznotki.

Ogień palił Smoka w gardle, gdy usłyszał, jak Anastasia — za blisko, zdecydowanie za blisko — wykrzykuje jego imię. Wtedy ogarnęła go ciemność.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Anastasia wiedziała, że coś jest nie tak. Wyczuwała to tak samo jak zmianę w powietrzu tuż przed burzą. Przywoływała właśnie głęboki pokój każdego z pięciu żywiołów, kiedy w noc wślizgnęło się zło, burząc jej koncentrację i przerywając wygłaszanie zaklęcia.

Jej wzrok automatycznie powędrował w stronę Bryana. Chciała się przekonać, czy on wie, co to jest — czy wie, co powinni zrobić. Z przerażeniem dostrzegła moment, w którym istota ludzka poruszyła się tak szybko, że jej umysł nie chciał tego przyjąć. Człowiek chwycił za gardło Bryana Lankforda, Smoka Lankforda, wampirzego mistrza szermierki, oparł go o drzewo i zaczął dusić.

Anastasia się nie wahała. Podbiegła do mężczyzny, który próbował zabić Bryana, i wykrzykując imię chłopaka, rzuciła się, by go ratować.

Człowiek puścił Bryana i przewrócił ją na ziemię. Chwiejąc się i walcząc z mroczkami przed oczami, Anastasia podpełzła do Bryana i chwyciła go za rękę.

— Bryan, na boginię, nie! — Był taki nieruchomy, jego szyja wyglądała dziwnie, jakby pękła. Nie oddychał, widziała, że nie oddycha.

— Zostaw go — mruknął człowiek. Wyciągnął rękę, ale Anastasia schowała się za drzewem, unikając dotyku modliszki.

— A więc masz ochotę na zabawę w chowanego, co, laluniu? — zaśmiał się mężczyzna. — Trochę gry wstępnej nikomu nie zaszkodzi. Biddle już po ciebie idzie, maleńka... — oznajmił i zaczął obchodzić drzewo w jej kierunku.

Spojrzała mu w oczy i zrozumiała, że wampirka przyuczająca się do funkcji najwyższej kapłanki miała rację. Biddle był kompletnym szaleńcem.

Anastasia wiedziała, że ma tylko kilka sekund, więc zamiast unikać stworzenia zwanego Biddle'em, ukucnęła i oparta dłoń na grubej korze drzewa. Drugą rękę położyła na gardle Bryana. Zamknęła oczy i pomyślała o znajdującej się pod drzewem ziemi — żywej ponadczasowej żywej sile, w której istnienie wierzyła całym sercem. Wyobraziła sobie ją jako zieloną fontannę wytryskującą z głębin, przenikającą do korzeni drzewa i do jego pnia, a potem do jej ciała, skąd miała popłynąć do Bryana.

Przybądź do mnie ziemio, silna i wspaniała, Ulecz, proszę, magią nieprzytomność ciała.

W tej samej chwili z pnia drzewa popłynęła fala ciepła, wniknęła jej w dłoń i przedostała się do szyi Bryana.

— Gra wstępna skończona. Czas zabrać się za prawdziwą zabawę. No chodź. Jeszcze nigdy nie miałem wampirki. — To powiedziawszy, Jesse Biddle chwycił jej kostkę i zacisnął w uchwycie mocnym jak imadło. Zupełnie jakby ważyła tyle co szmaciana lalka, odciągnął ją za nogę od Bryana i powlókł w stronę ciemnego tylnego wejścia do więzienia. Anastasia przez cały czas wypatrywała oznak życia u Bryana — choćby najdelikatniejszego uniesienia klatki piersiowej — jednak widziała tylko jego nieruchome bezwładne ciało. Chwilę później Biddle wrzucił ją do budynku i zatrzasnął za sobą drzwi.

— Ona nie jesssst martwa!

Anastasia wpatrywała się w stworzenie w klatce. Nie był to ptak. Nie był to też człowiek. To coś nie wyglądało nawet realnie. Nie licząc świecących czerwienią oczu, wydawało się bezcielesne jak zjawą — jak coś składającego się wyłącznie z koszmarów i cieni.

—: Nie, jeszcze nie jest — odparł Biddle. — Zanim odciągnę jej krew, zamierzam się z nią zabawić.

— Wykorzystanie jej nie było w planach — wysyczało stworzenie.

— Nie ma żadnych planów. Jestem tylko ja i nakarmię cię jej krwią, a wtedy dasz mi więcej tego, czego pragnę. A to, co zrobię z nią wcześniej, to już moja sprawa.

Anastasia przeniosła wzrok z kreatury w klatce na szeryfa.

— Co to jest?

— A nie wiem. — Dłoń Biddle'a przesunęła się z jej kostki na łydkę. — Nie zwracaj na niego uwagi, i tak nie jest realny.

Anastasia zaczęła się wić na klepisku, gdzie ją rzucił, próbując się uwolnić, jednak chudość ciała szeryfa okazała się zwodnicza. Miał niesamowitą siłę w kościstych rękach i jednym szarpnięciem za nogę przyciągnął ją do siebie.

— Nie! Zostaw mnie! Nie dotykaj! — wołała Anastasia, walcząc.

— Ejże, laluniu. Wszyscy wiedzą, jakie są wampirskie kobiety. Macie mnóstwo mężczyzn. Nie zachowuj się więc, jakbyś była dziewicą.

Anastazję oblał zimny, paraliżujący strach. Wpatrywała się tylko w człowieka, który pochylał się nad nią jak ożywiony szkielet.

— Właśnie tak — uśmiechnął się Biddle. — Tylko leż spokojnie, a będziesz miała mniej problemów.

Jedną rękę zaciskał na jej kostce, drugą zaczął rozpinąć pasek od spodni.

Dopiero wtedy do Anastasii dotarła powaga sytuacji — ten człowiek zamierzał ją zgwałcić i zabić!

Nyks, proszę, pomóż mi! Nie chcę umierać w taki sposób, modliła się gorączkowo.

I wtedy wstrząśnięta i przerażona poczuła ciepło kryształu ajoitu, który włożyła do kieszeni, gdy zakłęcie zostało przerwane. A obok kamienia wyczuła ciężar wypełnionego solą aksamitnego woreczka.

Kiedy Biddle wsadził rękę w spodnie, Anastasia wsunęła palce do kieszeni spódnicy. Nabrała garść soli z woreczka i sypnęła szeryfowi w oczy.

Wrzasnął i odskoczył do tyłu, mrugając i przecierając łzawiące oczy.

— Ty suko! — krzyknął.

Ale dał jej czas, którego potrzebowała. Anastasia przesunęła się do tyłu, wydając z kieszeni woreczek z solą i kamień wielkości pięści — kryształ ajoitu przepiękny magią płynącą z głębin ziemi. Od zamierzchłych czasów kapłanki używały kamienia, by przez przejrzystość duszy wprowadzić pokój. Anastasia, kapłanka oddana ziemi i pokojowi, sięgnęła w głąb

swojej duszy i połączyła się z żywiołem, na którym kuciała. Jednym zręcznym ruchem ręki rozrzuciła sól dookoła, tak że została otoczona linią białych kryształków. Jednocześnie wypowiedziała zaklęcie:

Teraz sól, kryształki o wiążącej mocy. Z ziemią się połączę przy waszej pomocy.

A potem, trzymając ajonit niczym sztylet, wbiła go w klepisko, wołając:

Ziemió z głębin pełna mocy, Ochroń mnie tej ciemnej nocy!

Poczuła, jak z głębi płynie potężna fala, zupełnie jakby gdzieś puściła tama. Niczym w czasie burzy na prerii skwierczały wokół niej zielone iskry. Anastasia przycisnęła dłonie do żywiołu, który właśnie obdarzył ją zdolnością nawiązywania prawdziwego kontaktu z ziemią, płacząc ze szczęścia i wdzięczności. Biddle próbował przekroczyć solny krąg, ale wycofał się z okrzykiem bólu. W tej samej chwili stworzenie w klatce zawyło:

— Nie! Zielone śśśśświatło mnie pali!

— Zamknij się, ty tam! — Biddle kopnął srebrną klatkę, a stworzenie ucichło i tylko wydawało z siebie cichy skowyt. Szeryf okrążył świetlisty krąg. — Co to ma być? Coś ty zrobiła, wiedźmo przeklęta?

— Przywołałam żywioł, żeby mnie chronił. Teraz

nie wyrządzisz mi już krzywdy — odparła, unosząc podbródek i patrząc mu w oczy. — Nie jestem wiedźmą. Jestem kapłanką wampirów obdarzoną darem kontaktu z żywiołem i teraz już nie możesz mnie skrzywdzić! — powtórzyła.

— To nie będzie trwało wiecznie! — Biddle nerwowo skubał sobie koszulę. — Kiedy to światło zgaśnie, ciebie spotka taki sam los.

Anastasia pokręciła głową.

— Nie rozumiesz. Ziemia mnie chroni. Światło nie zgaśnie ani nie osłabnie. Będę siedziała tu i czekała, aż znajdzie mnie najwyższa kapłanka. Zaręczam, że tak się stanie. Dom Nocy wie, że tu jestem, znajdą i mnie, i Bryana. — Głos jej zaczął się łamać, lecz wspomogła się znów mocą ziemi i mogła mówić dalej. — A wtedy odpowiesz za wszystko, co zrobiłeś tej nocy. — Przeniosła wzrok na żałośnie skomlące stworzenie w klatce. — I odpowiesz także za to, co zrobiłeś z tym biedakiem.

— Nikogo nie obchodzą wampiry ani zjawy — odparł szeryf.

— To nieprawda — powiedziała Anastasia, wierząc w słuszność swoich słów. — W St. Louis nie brakuje dobrych ludzi. Handlują z nami, nawet stają się naszymi partnerami. Nie spodoba im się to, co zrobiłeś, to, w co się zmieniłeś i co uwięziłeś tu na dole.

Biddle zastygł na moment, a Anastasia dostrzegła w jego oczach cień czegoś, co mogło być przebłyskiem zdrowych zmysłów.

— Wiem, że mam rację — dodała. — Więc idź sobie stąd. Idź, zanim ktoś jeszcze zostanie skrzywdzony.

W jego oczach pojawiło się zrozumienie, a nawet skrucha, ale w tej samej chwili rozległ się okropnie mokry nagły dźwięk miecza przeszywającego ciało. Biddle otworzył szeroko czy i popatrzył na ostrze, które niespodziewanie zatopiło się w jego plecach i wyskoczyło na środku klatki piersiowej. Z zaskakującym wdziękiem osunął się na kolana, a potem przechylił w bok, opadając w coraz większą kałużę krwi. Stojący za nim Bryan wyciągnął z niego miecz.

Stał teraz nad Biddle'em, oddychając ciężko. Szyję miał posiniaczoną i poturbowaną. Otworzył usta w złowrogim warknięciu, ukazując zęby, i Anastasia wiedziała, że stał się w stu procentach smokiem. Zniknął uroczy adept oraz dobry przystojny wojownik. Przyglądała się, jak wdycha unoszący się w powietrzu ciężki zapach krwi, a gdy ukucnął przy Biddle'u, widziała, że zamierza rozplatać mu gardło i napić się krwi.

Znów ogarnęło ją to złe przeczucie, które prześladowało ją przez całą noc, i teraz już wiedziała, że intuicja nie ostrzegała jej jedynie o zamiarach szeryfa. Chodziło o coś więcej, o wiele więcej. Sięgnęła do ziemi, by przyciągnąć jeszcze więcej magii, i wyszeptała:

*Niechaj moc ziemi zmiecie myśli zwodnicze, Ukazując
Bryana Lankforda prawdziwe oblicze!*

Rozbłysło zielone światło i przed oczami Anastasii ukazała się wizja. Był to Bryan, wampir po Przemianie. Znajdował się na polu bitwy i był ucieleśnieniem smoka. Aż jęknęła, gdy zobaczyła, kogo morduje: braci wampirów!

*Tak właśnie przyszłość się ukształtuje, Gdy miłosierdziem
siły nie utemperuje.*

Usłyszała te słowa w myślach, lecz nie pochodziły od niej i chociaż nie rozpoznawała głosu, który je wypowiadał, wiedziała, że to bogini Nyks do niej przemówiła.

Wiedziała też, co powinna zrobić.

Bryan wysączył krew Biddle'a do ostatniej kropli i nadęty z poczucia mocy, zwycięstwa i brutalnej siły, właśnie podchodził do zamkniętego w klatce stworzenia, unosząc wysoko miecz.

— Bryan, nie! — zawołała, po czym podniosła się i opuściła bezpieczny krąg, stając pomiędzy chłopakiem a uwięzionym stworem.

— Odsuń się, Anastasio. Nie mam pojęcia, co to jest, ale sprzymierzyło się z Biddle'em, więc musi zginąć.

— Bryan, ono jest w klatce. Biddle je uwięził.

— Nic mnie to nie obchodzi! — Bryan praktycznie warknął na nią. Jego oddech cuchnął krwią i nienawiścią. — Trzeba to zgładzić!

Anastasia stłumiła w sobie strach, który czuła na" widok prymitywnej brutalnej istoty, jaką stał się Smok. To nadal ten sam Bryan, musiała sobie przypomnieć. Wykonując powolne ruchy, przykryła dłonią jego zakrwawioną rękę zaciśniętą na mieczu.

— Nie obchodzi cię to stworzenie, a czy obchodzę cię ja?
— zapytała cicho.

Zawahał się. Pod palcami czuła, że odrobinę się rozluźnia.

— Tak — odparł. — Obchodzisz mnie.

— Więc mnie posłuchaj. Na dzisiaj już dosyć zabijania. Proszę cię, żebyś pozwolił zwyciężyć miłosierdziu. Bądź silniejszy od swojego miecza. Bądź wojownikiem, którego jak wiem, masz w sobie.

Popatrzyli sobie w oczy i w końcu Bryan westchnął i opuścił miecz, a Anastasia zobaczyła w jego spojrzeniu wspólną przyszłość, zobaczyła swojego Bryana.

— Tak — powiedział, dotykając delikatnie jej policzka. — Pragnę zostać wojownikiem, który w co wierzysz, we mnie tkwi.

Anastasia robiła właśnie krok do przodu, by wpaść mu w ramiona, kiedy skrzywił się potwornie z bólu i krzycząc rozdzierająco, upadł jej do stóp.

Przeżrana osunęła się na kolana.

— Bryan! Co się...

Przerwała, kiedy odwrócił do niej zalaną łzami twarz.

— Och! — wypuściła z płuc długi zdumiony oddech. —
Jakie piękne!

Wyciągnęła drżącą rękę i przesunęła palcami po nowych tatuażach znajdującego się obok niej wampira — Bryana po Przemianie.

— Jakie są? Jak wyglądają?

— Smoki — odparła. — To po prostu smoki.

— Smoki! — powtórzył, śmiejąc się. Natychmiast jednak spoważniał i ujął obie jej dłonie. Odchrząknął i klękawszy, powiedział: — Anastasio, pragnę zostać twoim wojownikiem. Moja pani, czy przyjmiesz moją przysięgę? Ślubuję ci, że będę cię chronił całym sercem, duszą i ciałem.

— Przyjmuję pod jednym warunkiem, Bryanie Smoku Lankford. Jeżeli masz mi służyć jako wojownik, musisz przysiąc, że od tego momentu będziesz miłosierdziem temperował swoją siłę.

— Przysięgam, że tak właśnie będzie — odparł bez wahania, po czym przyłożył zwiniętą w pięść dłoń do serca i pokłonił się swojej kapłance.

Pomógł jej wstać, a wtedy Anastasia spojrzała na niewyraźne stworzenie ciemności, które obserwowało ich zza srebrnych krat klatki Biddle'a.

— Proszę cię, okaż mu miłosierdzie — powiedziała tylko.

— Niech więc mój pierwszy czyn jako twojego wojownika będzie aktem miłosierdzia — odparł i podszedł do klatki. — Nie wiem, czym jesteś, kreaturo, ale ostrzegam, jeśli masz wrogie zamiary, będę bronił swoich.

— Wolność... — szepnęło stworzenie dziwnym szeszczącym głosem.

Bryan z mieczem w gotowości stanął pomiędzy swoją kapłanką a stworzeniem i otworzył klatkę. Rozległ się trzepot skrzydeł, po czym stwór zupełnie zaniknął, sycząc:

— Sssssskończyło ssssię...

— Dziękuję ci, Bryanie — powiedziała Anastasia.

— Chodź do mnie, moja pani, moja ukochana — powiedział wojownik, rozpościerając ramiona, a Anastasia radośnie i naiwnie wkroczyła w to, co jak wierzyła, miało być ich szczęśliwą przyszłością.

W tej samej chwili w czeluściach ziemi poruszył się skrzydlaty więzień i przez purpurowe oczy stworzenia, które Smok Lankford właśnie uwolnił, Kalona rozpoczął poszukiwanie kolejnego elementu układanki. Elementu, dzięki któremu miały się przeciąć losy i ziścić jego pragnienia.

EPILOG

Oklahoma, czasy współczesne

— Nie! — Choć łzy płynęły po policzkach Smoka Lankforda, jego głos był twardy jak gład. — Nigdy nie zapomnę i nie wybaczę — powiedział, wpatrując się w stos pogrzebowy Jacka. — Stworzenie, któremu pozwoliłem uciec, to był duch Kruka Prześmiewcy, kreatury, która po odzyskaniu ciała zamordowała ciebie, ukochana. Gdybym zniszczył ją wtedy, tyle lat temu, być może udałooby się uniknąć tego losu, takiej przyszłości. — Smok pokręcił głową i powtórzył: — Nie, nie mogę o tym zapomnieć.

A potem całkowicie świadomym ruchem zwinął dłoń w pięść na medalionie Anastasii i przycisnął ją do serca, składając pokłon.

— Nie mam już kapłanki. Nie obowiązuje mnie już przysięga. Bez ciebie, Anastasio, jestem tylko

smokiem, a smok nie musi łagodzić swojej siły miłosierdziem. — Otworzył pięść, przytrzymał medalion przed sobą, ucałował i rzucił na płonący stos.

Ze stosu podniosły się zielone płomienie, rzeczywistość rozdzieliła się i rozsunęła, ukazując zjawę płaczącej Anastasii. Do Smoka dotarł jej głos odbijający się dziwnym echem:

Smoku Lankford, Bryanie mój. Tyś mieczem serce me rozciął na pół.

Opadł na kolana w rozpacz i wyciągnął ręce w stronę płomieni, jakby mógł przyciągnąć jej ducha do siebie, wołając:

Twoja śmierć to dla mnie szok, Został mi już tylko smok.

Zjawa zaczęła blednąć i zanikać, ale jej głos przebił się jeszcze przez trzask ognia:

Jeśliś nie mój, prawdziwy, kochany, Jak kiedykolwiek odnaleźć się mamy?

Smok Lankford wpatrywał się w nią głodnym wzrokiem, nadal płacząc, Anastasia zaś odwróciła się od użyczonej jej na moment rzeczywistości i wkroczyła w ramiona Nyks. Bogini przyłożyła jej dłoń do czoła i w duszę kapłanki spłynęła jasność.

— Nyks! — krzyknął Smok. — Pozwól jej ze mną zostać!
Bogini spojrzała na niego z bezbrzeżnym smutkiem.

*Odnaleźć w sobie odwagę musisz, By zyskać spokój dla
swojej duszy.*

Zasłona oddzielająca świat realny od Zaświatów zadrżała i zasunęła się, zamykając Smokowi dostęp do wizji jego ukochanej oraz bogini Nyks.

— Odwagę! — zawołał. — To twoja jedyna odpowiedź? Potrafisz tylko zabrać moją Anastasię? Jak możesz być tak okrutna? Wyrzekam się ciebie, Nyks! Dawno temu sam odnalazłem Anastasię, teraz też to zrobię, ale najpierw muszę pomścić jej przedwczesną śmierć. Przysięgam to na mój miecz — oto przysięga Smoka Lankforda!

Odszedł z uniesioną głową, a w chorobliwie białych bokach potężnego byka odbiło się światło księżyca i bestia, bardzo zadowolona, odwróciła się, by odejść w poszukiwaniu innych przyjemności.

Tymczasem w Zaświatach bogini Nyks popatrzyła z góry na upadłego wojownika Anastasii i zapłakała.